N. 38. WARSZAWA d. 11 (23) Września 1871 ROKU

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. —w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 20. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

Treść Numeru. Gołąbki (Wiersz).—Literatura humorystyczna we Lwowie i Krakowie.—Wiadomości literackie i artystyczne. —Najdawniejsza podróż Polaków po Azji. Od Redakcji.—Pierwsza i ostatnia miłość powieść przez Paulinę z L. Wilkońską.—Kamienne Serce powieść przez Golo-Raymunda z niemieckiego.—Wspomnienia z podróży po Włoszech przez Aleksandra Dumasa (ojca). — Przytym dodatek z drzeworytami.

Gołąbki.

— Gołąbeczku mój miły,
Słoty gniazdko nam zbiły,
Co tu począć mój Boże!
Czy poleciem za morze?

Czy się z cicha przyczajem
Gdzieś nad białym Dunajem,
Czy zapędzi nas burza
Na alpejskie podgórza?

— Ej gołąbko! co tobie
Przewidywać w złéj dobie?
Gdym ja z tobą, ty ze mną,
Co się trwożyć daremno?

Bóg o małych pamięta,
On przytula ptaszęta,
Za dni mało czy wiele
On nam gniazdko uściele.

Oj głęboko — głęboko,
Sen tam padnie na oko!
Jaka cisza tam głucha,
Gwar nie dojdzie do ucha!

Tam odpoczniem sieroty,
Co nam wichry i słoty!
Tego gniazdka nam przecie
Żadna burza nie zmiecie.

S. D.

LITERATURA HUMORYSTYCZNA

WE LWOWIE I KRAKOWIE.

Wśród ustawicznych narzekań na niechęć Galicji do czytania, wśród ciągłych utyskiwań wydawców pism literackich i księgarzy na brak prenumeratorów i czytelników, znalazł się przecie jeden dział literatury, który dziś większą niż dawniéj posiada liczbę zwolenników i dyletantów. Przy trochę bowiem uważniejszym poglądzie na obecny ruch literacki we Lwowie, nasuwa się to spostrzeżenie, że literatura humorystyczna bardzo bujnie się rozwinęła, i stała się niemal, że tak powiemy, najpożądańszym artykułem konsumpcji literackiéj.

Już ta dość długa, a jak się zdaje, i trwała egzystencja kilku pism wyłącznie humorystyce poświęconych, mogłaby wystarczyć na usprawiedliwienie powyższego twierdzenia. Ale katalogi i sprawozdania księgarskie, dostarczają jeszcze wymowniejszych dowodów. O nakładzie naukowego, a przynajmniéj poważniejszego dzieła, dawno już nie słyszano we Lwowie. A gdyby nawet pojawiła się taka książka i napisana była zręcznie i zajmująco, to możnaby na palcach wyliczyć jéj czytelników. Poważny przedmiot i sposób przedstawienia rzeczy, odstręcza formalnie od siebie czytającą publiczność, która lekkiéj tylko szuka strawy dla umysłu. Poezja i powieść nie straciła jeszcze zupełnie łaski u publiczności, ale znaczniejszym zastępem czytelników poszczycić się nie może. Tu może najdobitniéj objawia się ta skłonność publiczności do humorystycznego kierunku. Powieść napisana nawet przez wziętego autora oceniająca i przedstawiająca stosunki społeczne z poważnego stanowiska, nie znajdzie niezawodnie tylu czytelników, ile ich posiada powieść humorystyczna, chociażby ta nawet, dla płytkiego poglądu na świat i ludzi, i jeszcze płytszego dowcipu, była tylko lichą ramotą. Jeżeli autor życzy sobie, by czytelnik znużony poważnym tokiem opowiadania, nie rzucił jego powieści u punktu kulminacyjnego całéj akcji, to musi, bodaj szczyptą humorystycznéj przyprawy, ująć sobie jego uwagę i ciekawość.

Najsilniéj objawia się ten niezwykły prąd humorystyczny, w dzisiejszem dziennikarstwie lwowskiém. Humorystyka stała się już tutaj niezbędnym warunkiem życia. Fejletonista, który potrafi w każdą niedzielę i święto napisać gładką i bodaj skromnym dowcipem okraszoną kronikę fejletonową, jest dzisiaj dla każdego lwowskiego pisma politycznego daleko cenniejszym nabytkiem, niżeli autor nawet wcale dobrych artykułów wstępnych. Publiczność lwowska, a nawet i prowincjonalna, przylgnęła już nałogowo do czytania takich kronik niedzielnych, i przenosi je nad trafne poglądy na wypadki polityczne, chociażby nawet w fejletonach tych znaleść miała, w miejsce prawdziwego dowcipu i lekkości fejletonowéj, tylko same skandale i humor bardzo wątpliwéj wartości.

Czy to dzisiejsze zamiłowanie publiczności czytającéj w literaturze humorystycznéj, jest chorobliwym zwrotem, czy zdrowym objawem chwilowego kierunku smaku? Czy pisarze dają publiczności pożywny owoc prawdziwego humoru, czy też tylko schlebiają tym zachciankom, płaskim surrogatem? Na pytania te, odpowiedzą poniżéj podane uwagi o właściwych powodach tego objawu.

Humor, w prawdziwem, głębszem pojęciu jego istoty, stoi na pośrednim stanowisku pomiędzy poezją a filozofią, jest zbiorowym płodem fantazji i rozumu. Z pod zewnętrznych poetycznych kształtów przebijać się musi w utworze humorystycznym pewna analiza i refleksja filozoficzna. Humor idzie daléj niż poezja, otwiera dla niéj nowe, nieznane a przynajmniéj wcale nie wyzyskane światy. Poe,-

zja szuka i przetwarza przedmioty, do których zastosować może idealną miarę swych planów i pomysłów, które podnioślejszemi kształtami swojemi zbliżone już są do potężnych rozmiarów ideału. Wszystko, co nie wzniosło się nad poziom zwyczajny, co niezna wyższego zakroju staje się dla poezji nieużytecznym materjałem. Poezja, podnosi przedmioty obdarzone już z natury wyższym polotem, rzuca swe promienie tam gdzie spostrzega jasne znamię ideału.

Szczupłym jest stosunkowo zakres działania poezji, a po za jéj granicami roztacza się dopiero olbrzymi świat, w którym humor króluje. Świat ten obojętny dla poezji, jest nieprzebraną kopalnią dla humoru, który nie mierzy rzeczy kolosalną miarą ideału, i niesłucha bezwględnie podszeptów wybrednéj fantazji. Humor zstępuje do prostaczków i powszednich scen codziennego życia, z chłodną rozwagą i filozoficzną wyrozumiałością, — usuwa ze swego materjału rażące niedostatki i wady, albo łagodzi je swym wesołym pogodnym uśmiechem, i tworzy piękny obraz flamandzki, w którym światło i cień zespalają się w artystyczną harmonję. Humor jest tedy czynny tam, gdzie, jak się zdaje, wyschło już źródło poezji, gdzie natchnienie poetyczne nie zwykło szukać wątku i przedmiotu do swoich utworów. Z powszedniego nawet trybu życia i z codziennych stosunków, potrafi humor utworzyć dla siebie artystyczne tło, a z tego olbrzymiego mrowiska pospolitych ludzi, wynosi pełne życia i prawdy typy. Wynika z tych uwag: że w czasach niepomyślnych dla poezji, literatura humorystyczna wcale nie upada, lecz owszem bujniejszą niż zazwyczaj objawia produkcję. Obecna pora jest; właśnie taką chwilą przychylną dla rozwoju literatury humorystycznéj.

Żyjemy w chwili ciekawéj i szybkiéj metamorfozy życia społecznego i jego stosunków. Racjonalizm jest hasłem dzisiejszych dążności, cechą wybitną dzisiejszych stosunków społecznych. Spekulacje akcyjne i giełdowe, gromadzą około siebie coraz większy zastęp ludzi, idących na lep tych zbyt łatwych, chociaż czasem nie zupełnie rzetelnych sposobów zarobkowania. Wobec téj powszechéj a tak hałaśliwéj wrzawy giełdowéj i bankowéj, ustąpić muszą, z pierwszego planu, poważniejsze kierunki pracy społecznéj. Rzecz dziwna, że cała ta metomorfoza społeczna czerpana z zagranicy, mimo swéj niezgodności, a nawet zupełnéj sprzeczności z naszym charakterem szerzy się z tak gwałtowną szybkością, i porywa za sobą nawet najwięcéj zachowawcze żywioły.

Ten wpływ nowoczesnych wyobrażeń w dążności zmienia fizjognomię społeczeństwa, przekształca powoli wszystkie warunki jego ustroju, i zaciera zupełnie jego dawniejsze barwy charakterystyczne. Ale przeobrażenie pod obne nie jest dziełem jednéj chwili, lecz powolnym wynikiem silnego prądu niwelacyjnego. Zanim społeczeństwo pogodzi się z nowemi pojęciami i dążnościami, zanim przekształci swój ustrój i na nowych oprze podwalinach, przebyć musi długą fazę przechodową. Taka chwila przechodowa obfituje w nowe, dziwaczne typy, które stoją na rozdrożu pomiędzy dwoma przeciwnemi prądami, w nowe sytuacje z niepewnym i dziwacznym kolorytem a wreszcie w komiczne kolizje pomiędzy instynktem zachowawczym a tym gwałtownym prądem nowych wyobrażeń i dążności. Dla humorysty, taka chwila jest bardzo ciekawą; jego dar spostrzegawczy, spotka się na każdym kroku z ciekawym typem i wyborną sytuacją.

Z powyższym objawem łączy się ściśle, jeszcze inny bardzo charakterystyczny rys dzisiejszego ustroju społecznego. Mówimy tu o tym wybujałym wirze politycznym, który porywa za sobą każdego i pochłania powszechną uwagę. Dziennikarstwo i efemeryczne publikacje polityczne, zakwitły u nas niepospolicie. Liczba pism politycznych, w krótkim czasie doszła do rozmiarów, o jakich nie myślały i najśmielsze nawet przypuszczenia; cały kraj rozpadł się na wiele obozów i stronnictw politycznych, które walczą ze sobą zawzięcie, pismem i słowem, a w doborze broni często przekraczają granice rozsądnéj i przyzwoitéj polemiki. Z tych rozlicznych obozów, walka o zasady i programy polityczne przenosi się na ulicę i porywa za sobą najobojętniejsze nawet umysły. W krótkim bardzo przeciągu czasu, pojawiła się bajecznie wielka liczba polityków domorodnych, planów i programów politycznych. Co głowa, to — polityk, a przynajmniéj jakiś oryginalny program polityczny. Z tego wszystkiego wyradza się oczywiście zamęt niepospolity, bo świeży nasz konstytucjonalizm pobudził do wystąpienia na widownię publiczną, wielu takich ludzi, którzy przeceniii swoje siły i ustrzedz się nie mogą od fałszywych kroków. Taki stan rzeczy, obudza może więcéj smutnych niż wesołych uwag! Ale humor, to uśmiech ze łzą w oku — jak powiedział Jean Paul Richter. Więc mimo wszelkich rozprzęgliwych objawów dzisiejszego położenia, humor ma przed sobą otwarte pole i obfity zapas materjału.

Ileż to dzisiaj widzimy hałaśliwych ambicyjek i pretensjonalnych zachcianek, które przebojem chcą sobie zdobyć uznanie, w obec braku prawdziwych i rzetelnych zasług! Ileżto możnych głów, pozbawionych zdrowéj myśli, polzuje dzisiaj na mędrców, zbawców ludzkości i przewodzców, gdy tymczasem na palcach zliczyćby można wszystkie wyższe zdolności i prawdziwe znakomitości! Ileż to dzisiaj mamy domorodnych mężów stanu i tuzinkowych polityków, którzy jałową fantazję wysilają na sklejenie jakiegoś niedorzecznego pomysłu, mającego pretensję do oryginalnego programu! Na każdym kroku spotkać się można z niesmaczną przesadą albo nawet wyrafinowaną szarlatanerją, popychaną naprzód egoistycznemi pobudkami.

Dla satyryka i humorysty, odsłania się tutaj nieprzebrana kopalnia najlepszych tematów, na ktorych osnuć się dadzą znakomite utwory. Potrzeba tylko mieć dar spostrzegawczy i trafne pojęcie swego zadania, a materjału pewno nie braknie.

Przytoczyliśmy tu powody, które, jak się nam zdaje, tłumaczą tę bujniejszą niż zazwyczaj produkcję w literaturze humorystycznéj. Przychodzi nam się teraz zastanowić nad pytaniem: jak się humorystyka wywiązała ze swego zadania, i jak skorzystała z tego obfitego materjału?

(d. c. n.)

WIADOMOŚCI
LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

O Teatrze i jego znaczeniu dla życia społecznego, przez Henryka Struve professora uniwersytetu Warszawskiego.

Do najszlachetniejszych rozrywek umysłowych, a mających wysokie znaczenie w każdéj społeczności, za prawdę należy — teatr. Znali wartość jego i wpływ przeważny, starożytni grecy owi ojcowie najszlachetniejszych popędów i zamiłowań ludzkich, poeci, rzeźbiarze, mówcy i dramaturdzy. Upadłai Hellada, ale zwycięzcy, choć złamali jéj znaczenie polityczne i traktowali jako lud podbity, ulegli jednak greckiéj duchowéj potędze. Dumna Roma we wszystkiem naśladując Grecję, ale po swojemu, doszła wreszcie do widowisk obudzających wstręt i odrazę, do walk gladjatorów i dzikich zwierząt.

Pod pięknem i pogodnem niebem staréj Grecji lud jéj innym widowiskom przyklaskiwał—gdy porwany wzniosłemi myślami wielkich poetów tragicznych, głośno porywy swoje szlachetne okazywał.

Z chrześcijaństwem, i teatr wraz ze sztuką dramatyczną inne przybrał formy, — ale jeżeli umiejętnie jest prowadzony i pielęgnowany, równie wysokie jak w Helladzie zachował znaczenie, bo niezaprzeczony jego wpływ moralny na społeczność każdego kraju.

Teatr w prawdziwém stanowisku, jest jakby źwierciadło, które obliczem, charakterem i mową, odbija wiernie uczucia, myśli, dążności i charakter narody. Poetycznie w tym względzie wyraził się J. N. Kamiński mówiąc o społeczności i scenie, że:

Ci jedna czuje, druga ma na twarzy.

Dnia 13 marca r. b. profesor Uniwersytetu Warszawskiego *Henryk Struve*, miał wykład publiczny w sali Ratusza Warszawskiego:

„*O teatrze i jego znaczeniu dla życia społecznego*" który drukowany w Bibliotece Warszawskiéj w zeszycie majowym, wyszedł w oddzielnéj odbitce. Polecamy naszym czytelnikom tę pracę szanownego profesora: w niéj bowiem, wymownie i gorąco wykazuje znaczenie właściwe teatru, który ma za cel najgłówniejszy, podnosić i rozwijać najszlachetniejszą stronę, człowieka w jednostce a ludzkości w ogóle.

Żaden człowiek, mówi prof. Struve, myślący i czynny, bez *ideałów* obejść się nie może, gdyż one są psychologiczną osnową wszelkich działań wszelkich dążności człowieka, i niezbędnym warunkiem jego wewnętrznego dobrobytu i szczęścia.

Tylko ideały dodają człowiekowi energii w życiu: tylko wiara w możność ich urzeczywistnienia, napełnia serce ludzkie ową odwagą, niezbędną, aby godnie wywalczyć walkę życia. Człowiek bez ideałów, jest człowiekiem złamanym na ducha i energii, człowiekiem bez celu i zadania w życiu, umarłym duchowo, ciężarem dla siebie i społeczeństwa.

Prawda, że doświadczenie życia zachmurza w każdym dojrzałym człowieku blask młodzieńczych ideałów, ale pomimo to, ustają one zupełnie w myślącym i czynnym człowieku, tylko wraz z ostatniem biciem jego serca, z ostatniem natężeniem energii.

Zupełnie to samo należy powiedzieć o społeczeństwach, narodach i całéj ludzkości. Historja ludzkości nie jest niczem innem, tylko objawem olbrzymiéj walki rozlicznych ideałów, zarówno pomiędzy sobą jak i z zewnętrznemi przeciwnościami. Ideały wstrząsają życiem narodów, — im zawdzięczają narody swą wielkość i swój upadek! Postęp i cywilizacja ludzkości, są tylko odblaskiem działających w niéj idealnych celów. W obec takiego potężnego znaczenia ideałów, dla życia jednostek i całych narodów, czyż może być rzeczą obojętną dla społeczeństwa: jakie w jego łonie działają ideały? *co* stanowi ich treść, i czy treść ta odpowiada jego prawdziwemu przeznaczeniu?

Nie, bynajmniéj! Jeżeli społeczeństwo ma obowiązek dbać o oświatę i umoralnienie swych członków; jeżeli w tym celu państwo obdarza swą opieką i wyposaża w różne prawa i przywileje *Szkołę i Kościół*; to na jakiéjże zasadzie, ze wszystkich władz ducha ludzkiego, jedno tylko uczucie z całym swojem zasobem wzruszeń i namiętności, fantazji i ideałów, miałoby być oddane na los przypadku, miało-

by pozostać bez zaspokojenia swych potrzeb, bez odpowiedniego kierownictwa, bez instytucji społecznéj, któraby wszystkie te potrzeby i dążności estetycznie organizowała, i nad ich prawidłowym rozwojem czuwała?

Taką instytucję widzi autor w teatrze. Był on w tę poważną szatę odziany w starożytnéj Grecji, był w swych *misterjach* w średnich wiekach, podnosząc stronę relligijną, i miał swe okresy i późniéj, gdy spełniał sumiennie swe podniosłe znaczenie.

Profesor Struve porównywając stan obecny teatru w Europie, słuszną uwagą zamyka swoją prelekcję:

„Prawda, że dotąd teatr w rzeczywistości tylko bardzo rzadko odpowiada temu wysokiemu zadaniu i przeznaczeniu. Będąc, niestety, zbyt często niewolnikiem i służalcem zniewieściałych lub nawet zepsutych zachcianek publiczności, mając częściéj na uwadze chwilowe zabawienie społeczeństwa, niż jego trwałe i prawdziwe dobro, dbając wreszcie nieraz bardziéj o swoją stronę finansową niż artystyczną teatr spada z wysokiego swego stanowiska, zamiast być kierownikiem i kształcicielem ideałów społecznych. Taki teatr przyczynia się tylko do zniweczenia w społeczeństwie wszelkiéj prawdziwéj idealności, mięszając ją z błotem".

Wdzięczni jesteśmy autorowi, za podniesienie śmiało a wymownie téj kwestji, jednéj z najważniejszych w ustroju społecznym każdego narodu.

NAJDAWNIEJSZA PODRÓŻ POLAKÓW
PO AZJI.

(Dokończenie.)

Na tym to stepie (dziś kirgizkim), pomarli z pragnienia Bojarowie, którzy jechali do swego księcia Jarosława u tatarów bawiącego, a w Kumanii napotykaliśmy wiele czaszek i kości ludzkich, leżących na ziemi. Przez tę więc ziemię, jechaliśmy od przewodniéj niedzieli aż do Wniebowstąpienia Pańskiego. Mieszkańcy tych krajów są poganie, ci równie jak Kumani nie uprawiają ziemi, tylko z hodowania bydła żyją, nie budują domów, ale w szałasach mieszkają, a i te tatarowie porozrzucali i mieszkają w ich ziemi, a ci co zostali, są u nich w niewoli.

Potem weszliśmy do ziemi Biserminów. to jest Bisurmanów, którzy mówią językiem Połowców, ale są religji saraceńskiéj. W téj ziemi napotkaliśmy wiele miast i zamków zburzonych, i wiele wsi opustoszałych. Pan téj ziemi zwał się Allisoldanus (wielkim sułtanem) i jego to tatarzy z całym rodem zamordowali.

Są tu bardzo wielkie góry, na południe ma Hierusalem i Baldac (Bagdad) i całą ziemię saraceńów, a przy najbliższych ich granicach, mieszkają dwaj rodzeni bracia, książęta tatarów, Barin i Cadan, wnukowie Gengishana. Przez ten kraj jechaliśmy od Wniebowstąpienia Pańskiego, prawie aż na tydzień przed świętym Janem.

Potem weszliśmy do kraju czarnych Chitadonów, gdzie cesarz zbudował dom, dokąd nas wezwano do picia. Tameczny namiestnik cesarski pragnąc nas uczcić, kazał panom tego miejsca i dwom synom swoim, tańcować przed nami. Wyszedłszy ztąd, napotkaliśmy jakieś małe morze (jezioro Bajkał) na którego brzegu jest niewielka góra, gdzie jak powiadają, ma być jama, z któréj w zimie, tak wielkie wiatry wychodzą, iż go ludzie ledwie, i to z wielkiem niebezpieczeństwem, przebywać mogą. W lecie zawsze tam szum wiatrów słychać, ale z jamy mało ich wychodzi. Szliśmy przez kilka dni brzegiem tego morza, które lubo nie nader rozległe, ma bardzo wiele wysp.

Nakoniec przybyliśmy do jednego dworu cesarskiego, w którym jedna z żon jego mieszkała.

Lecz żeśmy jeszcze cesarza nie widzieli, nie chcieli nas wzywać ani puścić do jego hordy, ale nam w naszym namiocie, obyczajem tatarskim, bardzo dobrze usługiwać kazali, i dla wypoczynku przez jeden dzień zatrzymali. Wyjechawszy ztamtąd w wigilią św. Piotra i Pawła, weszliśmy do ziemi Naimanów, którzy są poganami. W sam zaś dzień świętych Apostołów, spadły tam wielkie śniegi i mieliśmy wielkie zimno: albowiem kraina ta niezmiernie jest górzysta i zimna, — mało tam równin. Dwa wspomnione narody, nie uprawiały ziemi i mieszkały podobnie w namiotach jak tatarzy, którzy ich wytępili. Tę krainę kilka dni przebywaliśmy, poczem weszliśmy do ziemi mongołów, których my tatarami nazywamy.

Przez tę ziemię mocno kłusując, trzy niedziele jechaliśmy, a w dzień św. Magdaleny przybyliśmy do cesarza obranego, Gażuka. Dla tego zaś w téj drodze tak bardzo śpieszyliśmy, bo rozkazano naszym tatarom, aby nas prędko przystawili na dwór cesarski w dzień uroczysty, który dla wyboru cesarza, już od kilku lat był zapowiedziany. Dla tego rano wstając jechaliśmy aż do nocy, nic nie jedząc, a często tak późno na noc stawaliśmy, żeśmy musieli brać się do spoczynku, nic w usta nie wziąwszy, i cośmy mieli jeść w wieczór, to nam dawano rano. Zmienianych często koni wcaleśmy nie oszczędzali, lecz jechali prędko i bez odpoczynku, co mogły konie wyskoczyć. Gdyśmy przybyli do Gażuka, kazał nam dać namiot i żywność, jaką tatarowie zwykle nam dawali, jednakże lepiéj nas jak innych posłów chowano. Do samego zaś cesarza nie wzywano nas, dla tego, że jeszcze niebył obrany i jeszcze się do rządów nie mięszał. Tłumaczony jednakże list papiezki czytano mu, i opowiedziano nasze słowa wyrzeczone do Batego. Gdyśmy tam przez pięć czy sześć dni przemieszkali, odesłał nas do swojéj matki, gdzie się to uroczyste zgromadzenie zbierało. Tam przybywszy, widzieliśmy tak wielki namiot z białéj jedwabnéj materji, że, jak nam się zdawało, mógło przeszło dwa tysiące ludzi pomieścić, a w około szła drewniana podłoga różnem malowaniem ozdobiona. Udaliśmy się więc z tatarami do straży nam przydanymi, bo tam się wszyscy wodzowie zebrali, a każdy z nich ze swoimi ludźmi, ciągnącymi z różnych stron przez równiny i pagórki.

Pierwszego dnia ubrali się wszyscy w białe jedwabne materje,—drugiego w czerwone, a wtedy przyszedł Gażuk,—trzeciego dnia wszyscy byli w modro bladych materjach,—a czwartego w wytwornych jedwabiach złotem przerabianych. Przed tem rusztowaniem, obok namiotu, było dwoje wielkich drzwi. Jednemi tylko sam cesarz mógł wejść, nie stała przy nich warta, choć były otwarte, bo nikt niemi wchodzićby się nie odważył. Drugiemi wszyscy przypuszczeni wchodzili, i przy tych stała straż z mieczem, łukami i strzałami. Jeśli bowiem kto daléj za poręcze do namiotu posunął się, złapany dostawał kije; jeśli zaś uciekał, strzała go dosięgała. Wielu przy uzdach, siodłach i innych, mieli jak nam się zdało, około dziesięciu marków złota. Wodzowie przy namiocie umawiali się, jak domyślaliśmy się, względem wyboru cesarza, reszta zaś ludu stała daleko od rusztowania. Potem zaczęli mleko kobyle, w dziwnie wielkiéj obfitości, lejąc w siebie jak w kufy, nas zaś wezwali do siebie i dali piwa, bośmy tego tam mleka nie pili. Wreszcie pragnąc nas jak najbardziéj uraczyć, tak do picia przymuszali, że myśleliśmy iż popękamy, a późniéj że nas na torturę tym sposobem skazano.

— Ojcze Janie — mówił stękając Benedykt—już nie mogę;—jeszcze łyk jeden, a mleko pocieknie mi uszami.

— Mnie już cieknie — odrzekł Jan —a równie piję. Pij więc ojcze póki możesz.

Na szczęście zrozumieli przecie nasi gospodarze, że takie lanie w siebie, wielką nam przykrość sprawia, dla tego przestali nas przymuszać.

Z obcych, był Jarosław książę Suzdalski ruski i wielu innych książąt chińskich et Solangorum, dwóch synów króla gruzyjskiego, tudzież posłowie kalifa Bagdadzkiego który był sułtanem, więcéj niż dziesięciu sułtanów saraceńskich, i jak nam powiadali, było tam jeszcze więcéj jak dziesięć tysięcy posłów, którzy haracz przynieśli. Tych co przynosili dary, i tych co rządcami ziem różnych byli, za rusztowaniem umieszczano, i tam im pić dawano.

W tem to miejscu, jeżeli dobrze pamiętamy, około czterech niedziel bawiliśmy, i zdało nam się iż odbyłsię wybór, a to dla tego, że Gażukowi śpiewano ile razy wychodził z namiotu, i zatkniętą szkarłatną wełną na tyczkach, kłaniano się póki bawił zewnątrz, czego dla innego z książąt tatarskich nie czyniono. Ztąd jechaliśmy wszyscy razem na inne miejsce, o trzy lub cztery mile odległe, gdzie na pięknéj równinie był inny namiot przygotowany, który oni złotą ordą nazywają. Tam Gażuk miał bydź osadzony na stolicy w dzień w Niebowzięcia Panny Marji,—lecz to odłożono, dla wielkich śniegów które spadły, jakeśmy wyżéj mówili. Namiot ten wspierał się na słupach, złotą blachą pokrytych i klamrami złotemi z resztą wiązania utwierdzonych. Podniebienie było ze złotogłowia. Byliśmy tam aż do świętego Bartłomieja, w którym najwięcéj tatarów zebrało się, stojąc twarzą ku południowi. Inni zaś na jedno ciśnienie kamienia od drugich oddaleni, nieustannie modlili się, przyklękali, i ku południowi coraz daléj posuwali się: lecz my nie wiedząc, czy tu oni jakie czary robią, czy też zginają kolana przed Bogiem lub czem innem, przyklękać nie chcieliśmy. Wróciwszy do obozu, Gażuka na stolicy cesarskiéj posadzili, poczem ich wodzowie przed nim przyklękali, co i reszta ludu czyniła, prócz nas, bośmy nie byli jego poddanymi.

Wybrany cesarz, miał wówczas około lat czterdziestu pięciu, był średniego wzrostu, bardzo roztropny, niezmiernéj przebiegłości, obyczajów poważnych i surowych;—nie łatwo go kto widział śmiejącego się, albo lekkomyślnie coś sobie poczynającego, jak mówili chrześcianie którzy przy nim ciągle mieszkali.

Ma nadto ten zwyczaj, iż nigdy nie przemówił własnemi usty do cudzoziemca, choćby bardzo znakomitego, lecz przez pośrednią osobę odpowiada. Urzędnicy jego, jaką rzecz mu przedstawiając, lub słuchając odpowiedzi, klęczą póki mówić nie skończy. Gdy cesarz o czem orzekł, już innemu o tem samem mówić nie godzi się.

Ten cesarz ma prokuratorów, pisarzy i wszystkich urzędników tak domowych jak i publicznych, wyjąwszy adwokatów. Bo bez prawowania się i sądowéj wrzawy, wszystko dzieje się według woli cesarskiéj. Inni książęta podobież się zachowują względem sobie podległych.

Na uroczystem zebraniu powiedziano nam, iż nowy cesarz Gażuk, ze swemi książęty, zapowiedzianą od kilku lat wyprawę zrobić zamyśla, bo wywiesił chorągiew przeciw kościołowi bożemu i państwu rzymskiemu, przeciw wszystkim królom chrześciańskim i narodom zachodnim, chybaby, czego Bóg niech nie dopuszcza, to zrobili o czem pisał do papieża i wszystkich narodów chrześciańskich, to jest żeby im się poddali. Wyjąwszy bowiem chrześciaństwo, nie masz już innego narodu na świecie którego by się obawiali, i dla tego przeciwko nam wojnę gotują, gdyż tego cesarza ojciec Oktajkan, zginął od trucizny, z powodu czego przez jakiś czas wojny nie prowadzili. Teraz zaś chcą, jakem już wyżéj nadmienił, cały świat zawojować, co im Dżyngishan rozkazał. I dla tego Gażuk tak się tytułuje w liście swoim: „potęga Boga, wszystkich ludzi cesarz." Na pieczątce zaś są te słowa: „Bóg na niebie a Gażuk-han na ziemi. Pieczęć potęgi Boga i wszystkich ludzi cesarza."

W tem więc miejscu, gdzie cesarza posadzono na tronie, zawołano nas do niego. Gingaj notarjusz zaraz nazwiska nasze popisał, i tych co nas wysłali, i księcia Solangów, i innych a potem wielkim je głosem odczytał w przytomności cesarza i wszystkich książąt.

Poczem, każdy z nas lewem kolanem cztery razy przykląkł, i znowu nas napomniano abyśmy na próg nie nastąpili. Potem przepatrzono całe nasze ubranie, czy nie mamy nożów przy sobie, a nie znalazłszy wprowadzili bramą wschodnią, bo nikomu prócz cesarza zachodnią wchodzić niegodzi się. Pierwszy to raz po obiorze cesarza, weszliśmy do jego mieszkania, w którem wszystkich posłów przyjmował, lecz do wnętrza namiotu niewielu wprowadzono. Nieskończone mnóstwo darów posłowie mu znieśli, między innemi: aksamity, jedwabie, złotogłowy, pasy lite, futra kosztowne i tym podobne rzeczy. Niektórzy przynieśli baldachim, który noszą nad głową cesarza, cały drogiemi kamieniami nasadzony. Wielkorządca jakiejś krainy, przyprowadził wiele wielbłądów złotogłowiem pokrytych, na których siodle stały izdebki, gdzie ludzie pomieścić się mogą. Przywiedli też wiele koni i mułów, pokrytych zbroją wyrobioną z kory, a niektórą z żelaza. Nas też pytano jakie dary cesarzowi złożymy, lecz nic dać nie mogliśmy, bośmy już wszystko oddali. Tamże na polu daleko od koczowiska, stało więcéj jak pięćdziesiąt wozów pełnych złota, jedwabiów i szali. Temi się cesarz z książętami podzielił, a książęta ludziom swoim nawzajem wiele rozdali.

Ztamtąd poszliśmy do innego miejsca, gdzie był rozpięty cudny namiot, cały z żółtego jedwabiu, który Kitajowie (Chińczycy) mu dali. Wpuszczono nas do jego wnętrza, dano piwa, wina i gotowanego mięsa. Był też tam z desek wysoko wybudowany parasol, pod którym umieszczono tron cesarski — z herbem cudnéj roboty, a który, jeśli dobrze pamiętamy, nasadzony był złotem i drogiemi kamieniami. Na ten tron, u wierzchu okrągły, wchodził cesarz po stopniach. W końcu szły ławki, gdzie niewiasty siedziały na ławach po lewéj stronie, po prawéj zaś nikt wyżéj nie siedział. Książęta mieścili się na ławach niżéj po samym środku, inni za nimi — a każdego dnia mnóstwo Tatarek przybywało. Te trzy namioty, o których wyżéj mówiliśmy, były bardzo wielkie. Inne, w których jego żony mieszkały, były z pilśni białéj, dosyć przestrone i piękne. Tam cesarz rozłączył się z matką, bo musiał jechać na sądy.

Około tegoż czasu umarł Jarosław wielki książę suzdalski, który to Suzdal, jest tam gdzieś w dalekich stronach. Zawołany albowiem do matki cesarskiéj, pod pozorem uczęstowania jadłem i napojem, wkrótce wrócił do gospody, zachorował i umarł. Powiadali wszyscy iż był otruty, aby tatarowie ziemię jego całkiem posiedli.

Nakoniec nasi tatarowie zaprowadzili nas przed przed cesarza, który gdy się od nich dowiedział, iż mamy przyjść, kazał nam udać się do matki: chciał bowiem nazajutrz podnieść chorągiew przeciw całemu zachodniemu światu, a życzył sobie abyśmy o tem nie wiedzieli. Wróciwszy, zatrzymaliśmy się kilka dni, aleśmy przez miesiąc taki głód cierpieli, iż ledwie nam umrzeć nie przyszło: bo co na cztery dni dawano, to zaledwie na jeden wystarczało, a nie mogliśmy nic dostać za pieniądze, gdyż targowisko było zbyt daleko. Była to druga męka, gorsza jak z mlekiem kobylem. Wówczas z pełności o mało żeśmy raz biedy naszéj nie skończyli przez pęknięcie: tu przy braku jadła schliśmy jak szczapki, i pomiotał nami wiatr jak suchą gałązką na drzewinie. Lecz Bóg zesłał nam niejakiego Rusina, nazwiskiem Kuźmę złotnika, który zostając w łaskach u cesarza, w niektórych okolicznościach nas wspierał. Ten nam pokazał tron i jego pieczęć, które sam zrobił. Potem posłał po nas cesarz, i przez Kingeja swojego notarjusza kazał powiedzieć, abyśmy słowa i rzecz naszego poselstwa napisali i jemu oddali, — Cośmy też zrobili. Po kilku dniach znowu nas zawołać kazał, i pytał się czyliby się znajdował jaki człowiek u papieża, któryby ruski, saraceński albo turecki język rozumiał? Odpowiedzieliśmy iż niema takiego. Zdało się nam bowiem stosowną rzeczą, abyśmy to co saracenowie po tatarsku napiszą i nam przetłumaczą, my na język nasz pilnie wyłożyli, i takowy list wraz z tłumaczeniem papieżowi odnieśli.

W dzień Ś-go Marcina, Chodach całego cesarstwa prokurator, Chingéj, Bala i wielu pisarzów przyszło do nas, i ci nam list cesarski, słowo za słowem, tłumaczyli, a gdyśmy to po łacinie pisali, kazali nam każdą rzecz objaśniać, chcąc się przekonać czyliśmy się w jakiem słowie nie pomylili.

Według powziętych od tatarów wiadomości, cesarz postanowił posłow swoich wraz z nami wyprawić; chciał jednakże aby rozumiano, iż my po nim tego wymagamy. Jeden tatar, który był najstarszy, nalegał na nas abyśmy oto prosili — lecz nam się to nie zdało. Dla tegośmy odpowiedzieli, iż nam oto prosić nie godzi się, lecz jeśli ich cesarz z własnéj woli poszle, chętnie ich, dali Bóg bezpiecznych, zaprowadzimy. Nam zaś nie zdało się, aby z nami jechali, dla wielu przyczyn: Najprzód — baliśmy się aby patrząc się na nasze kłótnie i wojny, tembardziéj się jeszcze do napadu nie zachęcili. Powtóre, baliśmy się, aby nie jechali z nami dla przeszpiegowania zachodnich krajów. Potrzecie, lękaliśmy się, aby ich nam nie zabito, bo nasze narody są zuchwałe i dumne. Gdy słudzy, którzy byli z nami, na prośbę kardynała Legata w Niemczech przebrali się w odzież tatarską, to ledwie ich niemcy nie ukamienowali, tak iż musieli przebranie swoje porzucić, jest zaś obyczajem tatarów, iż z tymi co ich posłów zabili, żadnego nie zawierają przymierza, póki się na nich nie zemszczą. Czwarta daléj przyczyna, iż baliśmy się, aby ich nam gwałtem nie porwano. Piąta wreszcie, że z ich przybycia żadna dla nas nie wyniknęłaby korzyść, gdyż innego nie mieli zlecenia, tylko wręczenie listu papieżowi i innym książętom, co i my sami mogliśmy dopełnić.

Zdawało się nam zatem, że taki kłopot brać na swoje głowę, byłoby dla nas wielką uciążliwością. Mieliśmy zaś i tak jéj dosyć, to z głodem, to z przesytem, żeby pragnąć przybytku. Od posłów więc odżegnywaliśmy się, jak od złego ducha.

Trzeciego dnia wreszcie, to jest w dzień św. Bryzeliusza dali nam odprawę, list cesarski z pieczęcią, i posłali nas do jego matki, która dała nam futro jedno z wilków do góry siercią i suknię jedwabną, z czego tatarowie zaraz jeden błam ukradli. O tem, lubo wiedzieliśmy niceśmy nie rzekli, ciesząc się że pazury nie w nas, tylko w błam wrazili.

Po tym ostatnim traktamencie, uszczęśliwieni że cali wyszliśmy z tych poselskich opałów, jadąc przez całą zimę, nieraz spoczywaliśmy wśród stepu na śniegu, tylko go cokolwiek nogą odgarnąwszy. Nie masz tam bowiem żadnego drzewa, jeno czyste pole; nieraz rano wstawszy, byliśmy całkiem śniegiem przez wiatr zasypani. Tak podróżując aż do Wniebowstąpienia Pańskiego, przybyliśmy do Batego, którego gdyśmy zapytali, jaką—li da papieżowi odpowiedź, rzekł: iż niczego nie żąda, tylko tego co cesarz w liście swoim wyraził. Wziąwszy od niego list żelazny, ruszyliśmy w dalszą drogę, a w sobotę w tydzień po Zielonych świątkach przybyliśmy aż do Montija, gdzie byli towarzysze nasi i słudzy których wstrzymano. Ztąd przyszliśmy do Kuremzy, który znowu podarunków od nas wymagał, ale nadaremnie, bo oprócz duszy w ciele, nic już do dania nie mieliśmy. Mimo tego dał nam dwóch ludzi tatarskich, którzy nas aż do granic Rusi odprowadzili.

Do Kijowa przybyliśmy na piętnaście dni przed św. Janem Chrzcicielem. Kijowianie dowiedziawszy się o naszém przybyciu, wyszli naprzeciwko z oznakami radości. Winszowali nam jakbyśmy zmartwychwstali—podobnie nas witano wszędzie na Rusi, w Polsce i w Czechach. Daniel i brat jego Wasylko wyprawili dla nas wielką biesiadę, i gwałtem u siebie przez ośm dni zatrzymali.

W pośród swego pobożnego narodu, zdało się nam żeśmy się na nowo na świat narodzili. Po kościołach też składaliśmy Bogu, dzięki i prosiliśmy go krwawym płaczem, aby ta szarańcza mongolska żyła w swoich stepach i doszła wreszcie do poznania prawdziwego Boga.

Od Redakcji.

Z dniem pierwszym Października kończy się kwartał trzeci; upraszamy przeto o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj za kwartał czwarty, wprost pod adresem w każdym numerze znajdującym się, bo tylko tym jedynie sposobem zwłoki w odbiorze numerów uniknąć można.

W poprzedzającym numerze rozpoczęliśmy opowiadanie p. P. Wilkońskiéj pt. *Pierwsza i Ostatnia miłość*, po ukończeniu którego ogłosimy powieść w dwóch tomach J. I. Kraszewskiego, pod tytułem: *Wielki nieznajomy, obrazy naszych czasów.*

Upraszamy również o wyraźne wypisywanie adresów, gdyż niektóre z nich są tak nieczytelnie pisane, że ich żadnym sposobem odcyfrować nie możemy. Niektórzy także z szanownych Prenumeratorów pomijają je zupełnie, i nie wymieniwszy ani miejsca zamieszkania, ani ostatniéj stacji pocztowéj, dodają tylko: *adres wiadomy*. Że zaś pod jednem nazwiskiem znajduje się czasami kilku korespondentów, utrudza to więc niezmiernie wyszukanie właściwego interesanta, i staje się powodem, mimo naszéj woli, wstrzymania odpowiedzi.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*) Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 38. 1871 r.

PIERWSZA I OSTATNIA MIŁOŚĆ

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Po chwili, spokojniejsza nastąpiła rozmowa. Na licu Krystyny zakwitły róże, oczy słonecznym błyszczały promieniem, na ustach przecudny igrał uśmiech; była śliczną w téj chwili, odmłodzona miłością, a upiękniona szczęściem.

Krystyna żądała, by ten ich stosunek przez czas jakiś dla wszystkich tajemnicą pozostał — z wyjątkiem jednéj pani Kunowskiéj. Zbisław przystał na wszystko i wszystko przyrzekł; ona chciała oswoić się wprzódy z tem tak nowem dla niéj położeniem, a on zrozumiał ją zupełnie.

— Na imieniny moje — mówiła daléj, zjeżdża do mnie wiele osób, cała niemal rodzina zamieszkująca dalsze nawet okolice, przyjaciele i sąsiedzi. Rodzina zwykle przez cały bawi tu tydzień, a niektórzy i dłużéj. Otóż przyjedziesz, zabawisz z niemi pospołu: poznasz ich, oni ciebie poznają... Może się czegoś domyślać zaczną... — dodała z uśmiechem i świeżą na licu krasą,—to potem już i łatwiéj powiedzieć mi będzie...

— Jak tylko pani moja rozkaże, jestem powolnym i najpoddanniejszym... chociaż wolałbym co rychléj, by świat cały znał moje szczęście, które dumnym mnie czyni

— Mnie tak trudno, tak ciężko po tylu latach — wymówiła Krystyna głosem przyciszonym — po tylu latach... jakby wdowieństwa, tak nagle okazać się inną. Cierpiałam, potem czas wytrawił smutek... wyzdrowiałam umysłowo, odzyskałam spokój, wróciła myśl pogodniejsza... znalazłam szczęście w obowiązkach podjętych i spełnianych... I tak wszyscy zapatrywali się na mnie... a teraz zmieni się wszystko! — ukryła twarz w dłoniach.

— Pani! — zawołał Zbisław, jakby z wyrzutem i ujął jéj rękę — czyliżbyś żałowała?

— Nie, nie! och nie! Spojrzała się na niego pogodnie — ale taki przebieg myśli, takie zastanowienie mimowoli przychodzi i jest naturalnem zupełnie. Nie mam niestety, lat dvudziestu!.. a przebolałam wiele. Dziś, jak gdybym odrodziła się inaczéj... Nastąpi *zmiana*, która mnie trwoży. Wiek młody wita każdą radośnie, bo mu nowe życia wróży, powaby i szczęście. Wiek wszelako późniejszy przeciwnie, lęka się zmiany, ażeby mu szczątki przechowanego z lat młodych szczęsnego marzenia nie zwiała.

— Och Krystyno! poszepnął młody, mówię to co myślę i czuję.—Uśmiechnęła się wdzięcznie, ale z lekkim odcieniem, jakby wewnętrznego niepokoju a rzuciłam to zdanie moje raczéj ogólnikowo tylko... i powtórzę raz jeszcze: nie mam lat dwudziestu!

Zbisław w milczeniu wymownem, dłoń jéj do ust przycisnął.

Siedzieli i rozmawiali jeszcze dość długą chwilę, dopóki słońce całkiem nie zatonęło w jeziorze, a pomrok wieczorny sinawych wkoło nie zaciągnął cieni. Wracali zwolna do dworu; Zbisław podawszy jéj rękę postępował z podniesionem czołem, z wyrazem szczęścia w każdym rysie. Krystyna miała róże na licu a źrenicę wilgotną.

— Czekam z herbatą — wymówiła pani Kunowska, stawając we drzwiach szklannych sali, w której zastawiono herbatę.

— Spieszmy — odrzekła Krystyna, zdejmując kapelusz.

— A dla pacjenta, czy nie było już za chłodno? zwróciła się pani Kunowska do Zbisława.

— Już nie jestem pacjentem! odrzekł wesoło.

— Ho, ho! proszę tylko nie pozwalać sobie za wiele.

Zbisław stał się wielomownym tego wieczora, był wesołym a nawet i żartobliwym. Krystyna wszelako, jakkolwiek uśmiechnięta, była więcéj milczącą a chwilami i zamyśloną.

Gdy sobie powiedzieli *dobranoc*, ujęła Krystyna panią Konowskę pod rękę i do buduaru ją powiodła.

— Masz mi coś powiedzieć? zagadała krewna.

— Mam... i coś niespodziewanego wcale... siadajmy!

Zajęły wygodną kanapkę.

— Elżuniu! — rzuciła się Krystyna jéj na szyję.

— Cóż to takiego?

— Popełniłam... nierozwagę może... niewłaściwie postąpiłam pewnie.

— Ty?!

— Nie wiem nawet jak ci to powiedzieć!

— Ależ co? Na Boga.

— Oświadczył mi się...

— Pan Zbisław!

— Och Elżuniu.. a jam go słuchała.

— I przyjęłaś!

Krystyna oczy zacisnęła.

— To i czegoż się trapić? Pokochałaś go, bo na to zasłużył. On ciebie kocha, ma cześć najwyższą. Kocha ciebie całą duszą i sercem, to i dla czego miałabyś mu ręki odmówić?

— Więc mnie nie potępiasz?!

— Cóż znowu? uchowaj Boże!

— On jest młody... a ja..

— Ba, ba! — przerwała jéj krewna. Jesteś starszą od niego, lecz zawsze młodą, jeszcze młodą i pełną wdzięku. A przecież już widziano niejedno małżeństwo szczęśliwe, i bardzo szczęśliwe, chociaż żona była starszą od męża.

— Zawsze to jest niewłaściwe.

— Ej, co tam!

— Nierozsądne...

— Tylko nie skrupulizuj! Nie wyglądasz wcale starzéj od niego, zawierzaj mi. On kocha cię szalenie, na czem ja poznałam się oddawna. Jesteście oboje dobrzy, poczciwi, szlachetni i będziecie szczęśliwi.

— O, moja Elżuniu, gdyby tak było!

— Będzie.

— A co ludzie powiedzą! zawołała Krystyna, jakby nagłą strwożona myślą.

— Ludzie? A cóż ciebie, rozumną, rozsądną, ludzkie gadania obchodzić mogą?

— Będą ze mnie szydzili...

— Kto? A jeżeliby znalazł się ktoś taki, to i rychło umilknie. Gdyby coś tam gadali, to i gadać przestaną. Ale i któż tam ma gadać? uspokój się przeto. Powiedz sobie: że zasłużyłaś na szczęście całem życiem swojem, i że tobie należy się nagroda. Jesteś kochaną, kochasz, a zatem basta!—

I poczciwa kobieta pocałowała ją serdecznie.

Rozmawiały, układały, ale pani Kunowska z początku przeciwną była tajemnicy.

— Po co, i na co? zapytała. Dałaś mu słowo, decyzja stanęła, to i po cóż ten sekret?

— Nie mam dość odwagi... lękam się śmieszności.

— Baj bardzo!

— Zostawmy to czasowi! Niech się oswoję.... Zbisław mnie zrozumiał i przystał na moje żądanie.

— Hm! Skoro tego wymagasz koniecznie, niechże tak będzie. Bóg z tobą, moja Krynieczko! — pocałowała ją znowu.

Po czem sobie powiedziały *dobranoc*.

Zbisław w dni kilka potem wyjechał, uwożąc z sobą najszlachetniejsze pod słońcem serce i pierścionek zaręczynowy z turkusem. Krystyna pożegnała go z uśmiechem na ustach, ale ze łzami w duszy. I samotnie, tęschno, smutnie było w Palanicach po jego odjeździe.

Zbisław także obce przebywając pola, marzył jedynie o miejscach drogich, które pożegnał. Stanąwszy w domu, pojechał zaraz do Antoniego. W obec tego przyjaciela niepodobna mu było tajemnicę utrzymać: dochował jéj wszelako w obec siostry i szwagra.

— To jest anioł! powtarzał. Nie masz szlachetniejszéj istoty! A ileż ona ma wdzięku i niezrównanego powabu!

Antoni słuchał go i oczywiście, nie potrącił więcéj i jednem słówkiem co do onéj nieszczęsnéj różnicy wieku. Nie upłynęło dwóch tygodni, a Zbisław już znowu do Palanic pospieszył, gdzie dni kilka zabawił. Nikogo to nie dziwiło i nikomu ani w myśli postało, by pomiędzy nim a panną Krystyną inny, a nie czysto przyjazny upatrywać stosunek. Goście chorych potrzebujących gościny, Palanice miewały już nieraz—Zbisław przeto nie zwracał uwagi niczyjéj, a odwiedziny jego ceniono jedynie, jako okaz wdzięcznego uczucia. Nigdy nie przyszło nikomu nawet do myśli, by panna Krystyna jeszcze kiedykolwiek zechciała pójść za mąż, nie dla tego, by wielbiciela znaleść nie miała, ale że raz na zawsze postanowiła w dziewiczym pozostać stanie.

V.

Na dwa dni przed św. Krystyną, przybył Zbisław do Palanic, gdzie już zastał brata stryjecznego panny Krystyny, pana Ignacego Żalińskiego, z żoną i dwiema córkami, Klotyldą i Emmą. Były to dwie młode, ładne blondyneczki. Nazajutrz więcéj jeszcze osób należących do rodziny przybyło, i zrobiło się wesoło i gwarno w cichych Palanicach.

Klotylda i Emma już od południa niecierpliwie kuzynki Teci wyglądały—gdy wreszcie około czwartéj godziny zobaczono na żwirówce ciężką landarę, z czwórką rosłych bułanków, i zawołano:

— Jadą państwo Henrykowie!

Klotylda i Emma pierwsze na zajazd wybiegły.

Pan Henryk Łuniecki, cioteczny był bratem panny Krystyny i pana Ignacego, a oczekiwana Teresa córką jego.

Landara wjechała w dziedziniec i całe zebranie przede dwór wybiegło. Bułanki zatrzymały się. Otworzono drzwiczki i wypłynęła z nich jakby rusałka: śliczna, młoda dzieweczka, smukła, wiotka, biało-różowa, z szafirowemi oczętami, z włosem ciemno-płowym, uśmiechnięta i świeża jak kwiatek z którego jeszcze poranna nie opadła rosa.

— Ciocieńko najdroższa! zawołała pieszczotliwie i objęła pannę Krystynę, tuląc się do niéj, że aż opadł z jéj główki słomkowy kapelusz z modraczkiem.

— Droga ty, pieszczotko kochana! odrzekła panna Krystyna, i ucałowała ją serdecznie.

Stojący opodal Zbisław powiedział sobie, że téj wiosennéj panience, zaprawdę należy się przymiotnik: *pieszczotka*.

Wzięły ją następnie Klotylda i Emma w objęcie, uradowane z przybycia oczekiwanéj siostrzyczki.

— Pan Zbisław Skaliniecki, rzekła panna Krystyna, przedstawiając go przybyłym.

Teresa spojrzawszy na niego, zarumieniła się nagle, co zapewne powinno było panu Zbisławowi pochlebić, gdyby na to był zważał.

Pod wieczór więcéj jeszcze przybyło osób, a pomiędzy temi i dwóch młodych kuzynów, z których jeden, Michał Łuniecki, był szkolnym kolegą Zbisława.

Śmieszki i wesoła gawędka, bieganie po ogrodzie i muzyka, zapełniły młodym dnia resztę.

Gdy rozeszli się wszyscy na spoczynek, trzy panienki zasiadły sobie na balkonie, który z ich pokoju na ogród wychodził, i poufnéj oddały się gawędce.

Zbisław przypadkiem chodząc po ogrodzie, dla zaczerpnięcia miłego chłodu, usiadł był właśnie na wystawie pod balkonem. Usłyszawszy po nad sobą młode głosiki, nie śmiał panienkom ukazać się nagle i przeszkodzić, bo nawet nie przypuszczał, by sobie jakie tajemnice powierzać miały, zwłaszcza że mówiły tylko o sukienkach, kwiatach, wstążkach, o nowéj modzie kapelusików, jakichś piosenkach, nutach i nowych powieściach.

— Ale, ale! zagadała Emma, czegożeś się tak zarumieniła, Teciuchno, gdy panna Krystyna przedstawiała ci pana Zbisława? Myślałam, że ci krew wytryśnie z policzków.

— Och! zaśmiała się Tecia, bom sobie przypomniała małe zdarzenie.

— Zdarzenie? zawołały dwie siostry. A Zbisław pod balkonem zadrgnął i dech prawie w sobie przytłumił.

— Otóż widzicie: było to w Zapołu u wujostwa, na święta wielkanocne. Przeglądałyśmy albumy z fotografiami, a pomiędzy temi i album pana Antoniego, który tam także bawił. W albumie jest fotografja tego pana Zbisława...

— Pana Zbisława? zagadała Emma.

— Są to wielcy przyjaciele!... I zobaczywszy ten obrazek, powiedziałam.. ot, tak z pustoty, że to bardzo przystojny jest chłopiec...

— Bo też rzeczywiście ładny, wtrąciła Klotylda.

— Bardo przystojny i miły, dodała Emma.

— Wymówiła się... a Józia i Marynia nuż w śmiech, bo właśnie przystąpił, pan Antoni, i przez ramię moję zobaczył rozłożone album i fotografją pana Zbisława. „Co to panie wyśmiewacie mojego przyjaciela?“ zapytał! Przestraszyłam się niemało, bom ani słyszała, że się zbliżył, a Marynia odrzekła: „Właśnie przeciwnie, bo Tecia... chciała powtórzyć com mówiła, ale przerwałam jéj od razu, chociaż poczerwieniałam jak piwonja, mówiąc: „powiedziałam, że gdy tego pana gdzie spotkam na jakiéj zabawie tanecznéj, to go w mazurze wybiorę, bo zapewne tańczy dobrze“...

— Jaki rozumek! zaśmiała się Emma, a Klotylda dodała:

— Filutek z Teci! Ale cóż pan Antoni na to?

— Odrzekł zaraz uprzejmie bardzo, dziękuję pani w imieniu przyjaciela mojego i proszę o dotrzymanie słowa. A ja zaledwo wykrztusić zdołałam: „Dotrzymam“ bo mnie wstyd było żem skłamała. Józia i Marynia zanosiły się potem od śmiechu, że ja spotkawszy tutaj pana Zbisława, po nad spodziewanie wszelkie zmuszoną będę wybrać go w mazurze... jeżeli naturalnie tańczyć będziemy.

— Wątpię, odezwała się Emma, bo wiesz przecie że ciocia głośnych zabaw nie lubi.

— To, jużbym wolała, chociaż tak lubię tańczyć.

— Nie chiałab yś słowa dotrzymać?

— Ej, nie, bo póty się nie uspokoję, dopóki obietnicy każdéj nie spełnię... Ale będę zakłopotana...

— Czy dla tego, że pan Zbisław jest ładny, miły i przystojny,—że się tobie podobał?

— Właśnie dla tego.

Dwie siostry parsknęły śmiechem.

— Nie wyśmiewajcież się ze mnie! prosiła Tecia. Wyspowiadałam się przed wami... to się nie godzi!

— No, no, już nic! zawołała Klotylda i pocałowała ją w czoło.

Emma zagadała znowu o swojéj niebieskiéj sukience na jutro.

Dziewczęta pogawędziły, a potem do sypialni weszły.

Zbisław z cicha, pod oknami do swojego przemknął pokoju, a długo potem jeszcze marzyła mu w myśli, mimowiednie niemal, wdzięczna dzieweczka ze swojem naiwnem opowiadaniem.

Nazajutrz dość rychło zebrali się wszyscy w salonie, by solenizantce szczere złożyć życzenia. A nikt nie wiedział, prócz pani Kunowskiéj, że Zbisław już był wszystkich uprzedził, i że przepiękne drzewko pomarańczowe ustawione w buduarze, od niego pochodziło.

W południe przybyło sąsiedztwo.

Grano w gry różne. Emma cała niebieska, Klotylda różowa, Teresa zaś biała, z wiéncem fiołkowym we włosach, gdyby cudne motylki po zielonych uganiające się trawnikach.

Brzmiał fortepian i śpiewy różne; a wieczorem potańczono troszkę. Teresa wszelako nie mogła słowa dotrzymać, bo w drugim pokoju złożono ćwika, do którego i pan Zbisław zasiadł, — więc nie śmiała wywoływać go do figury mazurowéj.

Nazajutrz, w godzinie dość rychléj jak na spioszki, po długiéj zabawie i tańcu, wyszły panny do ogrodu. Na zakręcie cienistego klombu spotkały pana Zbisława, i Teresa znowu zróżowiała. Młodzieniec widocznie to spostrzegł, bo niby lekki, dobroduszny uśmiech okrążył mu usta. Zawrócił z niemi, rozmawiał, pochodził trochę, a potem pod jakimś oddalił się pozorem.

Po objedzie odbyło towarzystwo przejażdżkę do lasu. A prześliczna była to dąbrowa. Rozbiegli się wszyscy szukając grzybków, —panny zbierały kwiatki, a wesołe żarciki i śmieszki po zielonéj rozlegały się przestrzeni. Zbisław jednakże trzymał się więcéj starszych osób, a pani Kunowska zasłaniała go wymówką, że po swoim wypadku jeszcze niezupełnie do zdrowia powrócił.

Dnia trzeciego nadciągnęła burza. Czarne chmury cały widnokrąg zaległy. Błyskało się strasznie i grzmiało tak ciężko, że cała kula ziemska zdawała się drżéć w swoich posadach.

Towarzystwo bawiło w salonie. Teresa wcisnęła się w kącik po za kanapę, na któréj siedziała jéj matka, a była blada jak świeża konwalijka.

— Biedna Tecia! odezwała się panna Krystyna gładząc ją ręką po licu, jakżeż się boi!

— Nie boję się ciocieńko, wyszłabym nawet zaraz na dziedziniec i przypatrywała się czarnym chmurom i błyskawicom, — ale!..

— Pobladłaś, drżysz gdy zagrzmi, chowasz się za matkę...

— Ciociu kochana, to też właśnie chodzi mi o mamę i ojca... Sama, zarazbym wyszła na ogród i w pole...

— Rozumiem ciebie, aniołku! poszepnęła Krystyna i pocałowała ją w czoło.

Lunął deszcz kroplisty, gwałtowny, błyski i grzmoty zwalniały, przechodziły — oddalały się. Ulewa parę godzin potrwała.

Po herbacie usiadła panna Krystyna przy fortepianie, zagrała ochoczą polkę, i z uśmiechem ku młodym skinęła osobom. Zrozumiał ją któryś z młodych kuzynków, poprosił Teresę i puścili się po gładkiéj posadzce. Za tą pierwszą znalazła się druga para, trzecia i czwarta.

Wdzięczne oblicze Krystyny jaśniało z zadowoleniem i życzliwością, gdy patrzyła na przebiegających wesoło tancerzy. W rogu fortepianu stał Zbisław wsparty o ścianę i patrzył się także.

W tem, pod palcami grającéj, raźny zabrzmiał mazur. Młode pary z większą jeszcze poskoczyły ochotą. Robiono pierwszą figurę, tancerka wybierała—i Teresa rumiana, z uśmiechem, ale pomieszana trochę, przybiegła do Zbisława i podała mu rękę. Zbisław zapłonął i szepnął z pomieszaniem.

— Nie tańczę zwykle.... Dał się wszelako machinalnie pociągnąć, i posuwisto, zręcznie, z polotnem dziewczęciem salę przebiegał!

— Jaka ładna para! wymówił jeden z mężczyzn po za krzesłem Krystyny.

— Śliczna! I jak im ładnie z sobą, dodała pani Ignacowa.

Krystyna spojrzała. Oko Zbisława jasne, świecące z uśmiechem do wdzięcznéj mówiło tancerki, która zróżowiona, pośród ust korali białe pokazywała ząbki... Nagle zmięszały się tony fortepianu, palce które je poruszały konwulsyjnie stężały...

— Nie mogę... odezwała się Krystyna, i blada, jakoby bezwładnie pochyliła się na krześle.

— Co to?

— Cóż to?

— Słabość nagła!

Obskoczyli ją wszyscy.

— Wody!

— Eteru!

— To nic... nic!... uśmiechnęła się Krystyna, i podnosząc oczy spotkała wymowne spojrzenie Zbisława, który pobladł także.

— Nic to!... —powtórzyła, ścierpła mi tylko ręka... niezwyczajna jestem grać tak długo; potem podniosła się z krzesła i wsparła na ręku pana Ignacego.

— Tak, tak, to ze znużenia zbytniego— wymówi-

ła pani Henrykowa. Grałaś tak długo polkę, a jeszcze z precyzją wielką i z natężeniem...

— Zastąp mnie, Karolciu, odezwała się panna Krystyna z przymuszonym uśmiechem, niechaj tańczą daléj... Przykroby mi było, gdybym miała być przyczyną téj przerwanéj ofiary. Proszę cię zagraj im mazura.

Pani Karolina usiadła i grać poczęła. Pan Ignacy powiódł pannę Krystynę do kanapy, gdzie obok żony jego miejsce zajęła. Młode pary ruszyły się znowu.

Krystyna z ożywieniem rozmawiała przez chwilę, chociaż bardzo była blada. Potem zwolna opuściła salon, poszła do swojego pokoju i drzwi za sobą zamknęła. Rzuciła się na fotel i gwałtowym kurczowym wybuchnęła płaczem: poczuła ból srogi, najsroższy ból zazdrości w miłującem sercu. Migała przed nią młoda, śliczna para... jak gdyby stworzona dla siebie, dziewczę z wdzięcznym uśmiechem z różą na licu. On patrzący się na nią okiem jasnem, zapłoniety... Ach, a ona sama!... mimowoli spojrzała się w zwierciardło: wiszące naprzeciw była żółto-blada, zmieniona, podstarzała, zwiędła.... zadrżała boleśnie i twarz w dłoniach ukryła.

W salonie tony brzmiały, i nikt nie zważał że w nim pani domu nie stało.

Godzina upłynęła blisko, gdy panna Krystyna do salonu wróciła. Na licach jéj kwitł niezwykły rumieniec. Uśmiechała się i niby wesołą była, i nikt też nie domyślał się bynajmniéj, co tam w jéj biednem działo się sercu.

VI.

W dniu następnym urządzono bacik, i młodzież panny po stawie woziła, przy odgłosie fletn i śpiewek różnych. Powietrze po burzy było przecudne, przewonione świeżością.

Na wybrzeżu poważniejsze zasiadły osoby, ciesząc się wesołością młodych. Zbisław nie należał do bacikowéj wyprawy, ale przyzywany przez Michała, a zachęcony przez panów Ignacego i Henryka, przyłączył się do młodych, i tak znalazł się jakoś, że wstępującéj do łódki Teresie rękę podał, a potem przy niéj stanął. Krystyna patrzyła się z uśmiechem.

Pogodzinnem kołysaniu się po stawie, powracali wszyscy do zastawionego podwieczorku wezwani. I znowu tak zrobiło się jakoś, że Zbisław szedł obok Teresy, a ona coś tam szczebiotała mu wesoło. On słuchał z uśmiechem, raz po raz zwracając się ku niéj, aż wreszcie przy podwieczorkowym zatrzymali się stole, powitani uprzejmym wyrazem gospodyni domu.

Pokrzepieni wyśmienitem przyjęciem, wszyscy następnie przechadzką do domu wracali. Panna Krystyna, znać znużona trochę, podała rękę panu Ignacemu.

Już było około godziny pierwszéj z północy, gdy pani Kunowska, zajmująca pokój obok sypialni Krystyny, posłyszała tamże szmer jakiś. Zlękła się czyli krewna nie zasłabła, i z cicha do drzwi podbiegła. Dosłyszała jęk niby, i zwolna weszła do pokoju. Okno na ogród stało otwarte, a przy oknie klęczała Krystyna w bieli, okryta czarnym szalem jakby całunem. Pani Kunowska zadrgnęła.

Krystyna podniosła się, blada jak mara. Jasny smug światła księżycowego oblał ją całą, i było coś dziwnie uroczego, nieziemskiego w jéj postaci.

— Cóż to? czyś słaba? — wzięła ją za rękę, lodowato zimną. Krysiu, przez miłość Boga!... Przy otwartem oknie przeziębisz się, zachorujesz!

Krystyna ścisnęła konwulsyjnie jéj rękę.

— Tobie jest coś!.. Przestraszasz mnie, Kryniu złota, najdroższa!

Nagle, Krystyna, jakby złamana, rzuciła się w jéj objęcie i jękliwym wybuchnęła płaczem.

— Cóż to, Krysiu jedyna? Przez miłość Boga, powiedz!

Krystyna długą chwilę konwulsyjnie łkała. Potem łzy jéj obficiéj, a wolniéj płynęły. Pani Kunowska tuliła ją w objęciu — i pospołu z nią płakała...

— To i powiedz-że przecie, co cię boli? — pytała znowu.

Krystyna zacisnęła dłońmi oczy, chwila milczenia potrwała, a potem, jak gdyby po przebytéj walce i uczynionem postanowieniu, biorąc rękę krewnéj, wymówiła:

— Ty jedna tylko moją słabość widziałaś... i odtąd będę już mężniejszą. Uczyniłam postanowienie, niczem niecofnione. Zbisławowi wrócę słowo i uczynię go wolnym.

— Co to? co ty mówisz? — pani Kunowska załamała dłonie. Cóż się stało?

— Nie stało się nic... Ale małżeństwo to byłoby niedorzecznością, szaleństwem, które opłacilibyśmy oboje cierpieniem.

— Krysiu! Krysiu!

— Obłędniałam... lecz, przejrzałam jeszcze dość wcześnie. Różnica wieku strasznym jest mezaliansem! Różnicy wieku nic zatrzeć nie zdoła, a z dniem każdym staje się większą. On jest młodzieńcem, a ja kobietą niemłodą.. kobietą z pola zeszłą oddawna. Kochałby mnie rok jeden, dwa,.. potem byłby dla mnie z szacunkiem tylko... a odpokutowałabym srogo za nierozwagę swoją... i szał!

— Krysiu, on ciebie bardzo kocha!

— Dziś... wczoraj zapewne!... ale jutro?... Jutro przejrzy, jak ja dziś już przejrzałam... Powtarzam: straszny to mezalians, gdy kobieta o lat tyle jest starszą: straszny, bo i ośmiesza!

— Ale ty przecież...

— Nic .już, nic, moja Elżuniu! Żadne uwagi mojego postanowienia nie zwichną. Znasz mnie przecie, to jest nieodwołalne!

— Mój Boże, mój Boże! pani Kunowska złożyła dłonie.

— Powiesz mu to jutro... oddasz pierścionek... powtórzysz wszystko. Powiesz, że moje postanowienie jest niecofnionem. Niechaj mi naleganiem większego cierpienia nadaremnie nie sprawia... boć ja cierpię... srodze... krwawo... — wymówiła głosem złamanym.

— Krysiu moja! ujęła pani Kunowska jéj ręce obiedwie.

— Powiedz mu, ciągnęła Krystyna daléj, z nową siłą i spokojem, powiedz mu, że na zawsze będzie miał szczerą we mnie przyjaciółkę, siostrę... i dla mnie zawsze niech będzie bratem.

W każdéj przygodzie, gdybym przyjaznéj potrzebowała pomocy, udam się do niego z ufnością całą i wiarą... Ale obecnie wszystko zerwanem być winno... i teraz nie zobaczę go więcéj... Jutro będę się ociągała wyjść z mojego pokoju, jako cierpiąca... i tak ociągać się, nie wyjdę wcale.

— Miałabyś się zamknąć?

— Tak uczynię. Będę cierpiącą... cierpiącą na fluksję, któréj nabawiłam się nad stawem. Ty zatrzymaj gości. Zaklnij go by z drugiemi przez jutro zabawił... ażeby żadne nie powstały domysły.. podejrzenia... Niechaj dopiero pojutrze odjedzie. Dam mu moje najserdeczniejsze błogosławieństw

— Och Boże!

— Uskutecznij to wszystko, a dasz mi najwyższ dowód przywiązania.

— O, jakież to trudne, jakież to ciężkie zadanie!

— Chwila bólu przeminie... a potem będzie bło go. Uratuję siebie... i jego!... Powiem ci jeszcz kochana, że ta jego miłość dla mnie jest raczéj tył ko marzeniem opartém na szacunku szczególnyn i uczuciu wdzięcznem, na jakiéjś czci idealnéj.. młodzieńczéj.. wygórowanéj... i wreszcie poznałam się na tem.

— Krysiu, mylisz się pewno!

— Nie mylę się licząc lata moje.... i porówny wając je z jego młodym wiekiem!... Dokonaj Elżu niu, téj wielkiéj przysługi przyjaźni... ofiary!

— Toćżem ja wszystko i zawsze dla ciebie uczy nić gotowa.

— Teraz udaj się na spoczynek, bo pewnie już i świtać poczyna. Jestem spokojniejsza... spokojna zupełnie. Gorączka minęła... choroba... kryzys — i wszystko do dawniejszego powróci trybu. Dobra noc, kochanko.

Pani Kunowska powstała.

— Och, gdybyś ty trochę spocząć mogła!

— Myślę, że spocznę... bom znużona bardzo i wysilona. Dobranoc.

Pani Kunowska wyszła, ciężkie stłumiając westchnienie. Pokiwała głową, ale trudno jéj było nie uznać, że Krystyna postąpiła sobie rozsądnie, na resztę życia oględnie i właściwie. Powodowana przywiązaniem swojem do niéj, pragnąc jéj szczę ścia, łudziła się sama: że to znajdzie w związku, cho lata taką czynią różnicę, skoro tylko zgadzają się umysły i serca. Zresztą i nie rozmyślała nad tem, nie rozważała, raz przez uwielbienie dla Krystyny, to znowu może, iż tak dogodniéj jéj było.

Miękkie i dobrowolne natury złego nie odszukują, ujemnéj nie lubią dopatrywać się strony, i skrzętnie we wszystkiem li—dodatnią chwytają, nawet i tam gdzie jéj nie masz wcale.

Pani Kunowska kazała nazajutrz poprosić do Zbisława salonu.

Goście wszyscy pod lipami w ogrodzie bawili.

Nadbiegł zaraz.

— Dzień dobry. Jakże się miewa panna Krystyna? zapytał z zajęciem i pocałował ją w rękę.

— Cierpi na fluksję.

— Słyszałem. Mój Boże!

— Zaziębiła się wczoraj nad stawem.

— Czy doktor nie będzie potrzebny?

— Och nie! To przeminie.

— Pani łaskawa przysłałaś po mnie.

— Mam do pomówienia... Zadanie ciężkie i przykre...

— Cóż takiego? młody spochmurniał nagle.

— Panna Krystyna, odchrząknęła, kochana moja kuzynka, poleciła mi...

— Co takiego?

— Przyszła do tego przekonania — zakaszlała niby — że... że panu szczęścia prawdziwego dać nie może.

— Co to jest? rzucił się Zbisław, i pobladł.

— Że panu szczęścia nie da, i że sama nie byłaby szczęśliwą...

— Nie kończ pani, przez Boga!

— Muszę!... Zwraca panu pierścionek i słowo...

— Nie odbiorę! Ona nie zechce uczynić mnie nieszczęśliwym po nad wszystko! (d. c. n.)

KAMIENNE SERCE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Golo-Raymunda

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

— Klementyna ma tym razem słuszność, potwierdził ojciec z lekkiem westchnieniem. Druga moja córka jest bowiem od dwóch miesiący za mężem. Wysłałem dzieci na edukacyę do Niemiec, chcąc je uchronić od niektórych niedorzeczności amerykańskich, a kraj wasz chwalono mi zawsze jako słynący ze spokojności, uczciwości i statku. Lecz gdy przed rokiem przybyłem, aby je zabrać, dowiedziałam się że moja córka jest zaręczona z pastorem, który był katachetą w zakładzie. Jak się pokazało, przybyłem w samą porę, aby dać moje błogosławieństwo, bo córka moja powiedziała, iż umrze jeżeli jéj tego odmówię. Ach panie, nie masz większego kłopotu, jak dziecko, które sobie uroi, że już nie jest dzieckiem. Zaledwie spełniłem prośby jednéj, aż tu i druga zaczyna mi mówić o śmierci. Klementyna twierdzi, że nie mogłaby żyć w tak wielkiém oddaleniu od siostry, a gdy przy tem obstawałem, zachorowała z tęsknoty, tak, iż nic mi nie pozostało, jak pozałatwiać czemprędzéj wszystkie interesa i spieszyć z nią na wesele tamtéj córki, któréj narzeczony otrzymał tymczasem małe probostwo. Zięć mój jest pastorem w małéj wiosce, tam za górą, ale zaprawdę dobrze iż przybyłem, bo inaczéj nie byłbym nigdy uwierzył, jak ubogie macie tu probostwa. Teść takiego proboszcza nie może mieszkać daleko, jeżeli nie chce, aby dzieci jego karmiły się tylko miłością i słowem Bożem. Kupno Bonrathu było mi więc bardzo na rękę, tem bardziéj, iż dzieci moje to ułożyły, zarzutów więc nie potrzebowałem się obawiać. Dziś jest termin licytacyi, na któréj Klementyna niewiedzieć dla czego chciała być obecną. Aż do wsi droga szła jako tako. Konie są wprawdzie młode, ale nie płoche, sam się o tem przekonałem, kupując je dla zięcia, którego ciche księże usposobienie starałem się uwzględnić przy ich wyborze. Stanęliśmy przed karczmą, a ponieważ było zimno, poszedłem rozgrzać się szklanką grogu, łen zaś hultaj, którego mój zięć nazywa swoim woźnicą, także porzucił bryczkę i konie, i podobnież poszedł się rozgrzać. Za chwilę usłyszałem krzyk — wybiegam, patrzę — bryczka z Klementyną już tylko migoce w oddaleniu. Tak zamiar mój spełzł na niczem; pierwéj trzeba leczyć Klementynę, nim się pomyśli o kupieniu jéj willi, którą zresztą, chociaż nieco drożej, będzie można nabyć choć później. Klementyna jednak boleśnie odpokutuje chętkę niepokojenia koni.

I teraz chciała się roześmiać, już nawet pokazała piękne swoje ząbki, ale na tem się skończyło, widocznie ból ręki musiał jéj bardzo dokuczać, chociaż znosiła cierpienie z rezygnacyą. Zresztą konie były już gotowe do drogi; nie tracąc czasu ojciec odprowadził ją do bryczki, a Feliks pojechał naprzód konno, aby w zamku zapowiedzieć przybycie gości.

— To prawdziwa gościnność, która spieszy z pomocą, nie pytając kto i dla czego jéj żąda, rzekł wiekowy jegomość, wsiadając. Większéj nie znajdzie i w Ameryce północnéj, kraju tak słusznie sławionym z gościnności, ale też nie trzeba jéj nadużywać. Powinieneś pan wiedzieć przynajmniéj, kogo masz oznajmić swéj matce.

To powiedziawszy, wydobył z pugilaresu kartę i podał ją Feliksowi, który niebawem dosiadł konia, poczem i bryczka ruszyła. Feliks wkrótce zostawił ją za sobą. Oddaliwszy się, wyjął kartę i obejrzał; miała napis „Mr. Thornton". Mało dla niego, a jednak dosyć, gdy pomyślał o Klementynie. Dla młodzieńca zapalającego się tak łatwo, była aż nadto piękną, aby sama swoją osobistością nie miała przydać znaczenia wszelkiemu stanowisku i wszelkiemu nazwisku, nawet tak skromnemu i zwyczajnemu jak Thornton.

Rozpłomieniony i rozgrzany szybką jazdą, wpadł na dziedziniec; hrabina powróciła dopiero co z przechadzki rannéj, i on tam się ukazał.

— Matko kochana, zawołał spiesznie, proszę cię, każ przygotować i ogrzać pokoje,—za chwilę przybędzie tu powóz.

— Niech cię Bóg błogosławi! zawołała wzruszona,—niech was oboje błogosławi, a ona, oby mi się stała dobrą córką.

— Ach matko, nie bądź tak porywczą! rzekł z uśmiechem. Nie o Malwinę tu idzie. Téj nie pozyskamy. Ale przyprowadzam ci piękną zachwycającą panienkę z ojcem. W moich oczach miała ona na gościńcu okropny wypadek: złamała czy zwichnęła rękę, —trzeba jéj dać ratunek. O matko! ty jesteś prawdziwą samarytanką, a ona tyle ma wdzięków, że dzieło miłosierdzia nie będzie ci trudnem. Nie patrzże na mnie tak gniewnie, mamo, prosił prowadząc ją ku domowi,—bądź uprzejmą, niech i cudzoziemcy zaznają twojéj dobroci.

— Feliksie, Feliksie, jakże też jesteś lekkomyślny! ganiła łagodnie.

Spojrzał błagająco na pełną dobroci twarz matki, i rzekł z uśmiechem:

Wiemy z historyi Ezawa, że błogosławieństwa nie można cofnąć, chociażby podstępnie było wyłudzonem. Cokolwiek bądź więc miałabyś do zarzucenia, już się stało, a pięknemu dziewczęciu musi być dobrze pod naszym dachem

IX.

Klementyna Thornton spała snem orzeźwiającym po za spuszczonemi firankami gościnego pokoju, w którego okna Feliks zaglądał niecierpliwie, przechadzając się po parku pomimo marcowego zimna. Ręka była nadłamana, lekarz złożył ją, obandażował, i upewniwszy że nie ma niebezpieczeństwa, nalegał, aby pacjentka usiłowała zasnąć. Piękna swywolnica była nareszcie posłuszną. Tymczasem, na tych zajęciach lekarskich zeszło kilka godzin, termin licytacji upłynął, w Amstteten wiedziano już nawet, że Bonrath kupiła Sybilla. Pan Thornton był z tego zadowolony: sądził bowiem że stara kobieta, nie zechce zapuszczać się w mozolne i ryzykowne przedsiębierstwo, a tem samem że z łatwością da się skłonić do odstąpienia. W tym celu postanowił porozumieć się z nią jeszcze tego samego dnia, a chociaż Feliks przedstawił mu Sybillę jako osobę nieprzystępną i nader upartą. nie odstąpił od swego postanowienia; przyjął jednak z wdzięcznością propozycję starszego hrabiego Amstetten, który obiecał wprowadzić go do nowéj dziwaczki, Paweł korzystał z téj sposobności, która otwierała mu niegościnny dom Sybilli i pozwalała zbliżyć się do Gertrudy,—i to było przyczyną, że wpadł w wyborny humor, gdy przed odjazdem wszyscy mężczyźni zeszli się do jadalnego pokoju na śniadanie.

Od śmierci Ingeborgi, w Amstettten zapanowała znowu dawna swoboda umysłów i miła wesołość. W życiu rodzin śmierć nie zawsze sprawia trudną do zapełnienia otchłań; często godzi i pojednywa serca, które dotąd rozdwajał duch niezgody. Weselsze usposobienie Pawła, wielce korzystny wpływ wywarło na serce matki jego. Feliks widząc ją zadowoloną i coraz więcéj zajmującą się światem zewnętrznym. nabrał otuchy, którą całkiem już był utracił! Tylko trwająca dotąd, a teraz już niczem nie usprawiedliwiona obecność dyrektora teatru, barona Wallmuth, zatruwała spokojne życie familijne, ponieważ jego niewłaściwe zachowanie się, a przytem coraz bardziéj wzmagająca się skłonność do napojów gorących, bywała powodem rozlicznych przykrości i zmartwień. Dla czego nie odjechał, dla czego wolał narażać się na niemiłe starcia z zięciem, chociaż rzadko tylko brał udział w życiu familijnem, pozostało zagadką, przynajmniéj dla tych, którzy postrzegli że baron rozporządzał dość znacznemi funduszami, a zatem nie był zmuszonym oglądać się na dobroczynność Pawła. Jakim sposobem byli dyrektor teatru przyszedł nagle do majątku, nie wiedziano, ani się domyślano Paweł niejednokrotnie otwarcie doradzał baronowi rozłączenie, i w tym celu proponował mu, aby mieszkał w owych dobrach nie daleko stolicy położonych, w których sam spędził lata chłopięce. Baron po długim namyśle przyjął tę propozycję, chciał jednak pierwéj wyszukać sobie odpowiedniéj gospodyni.

Dowiedziawszy się o przybyciu do zamku młodéj i pięknéj panny, baron poczytał sobie za obowiązek zbadać osobiście jéj głośno sławione zalety, i dla tego udał się do sali jadalnéj, gdzie spodziewał się ją zastać.

Ale doznał przykrego zawodu, ujrzawszy w sali tylko bratowę z obu synami i obcego, którego twarz była mu gdzieś znajoma; obraził się zaś, gdy tenże odpowiadając niedbale na jego niski ukłon, zwrócił się do hrabiny z zapytaniem:

— Jakto? czy macie państwo teatr nadworny.

— Nie, odpowiedziała zmięszana, ten pan bawi u nas.. .. ale zapomniałam panów z sobą zapoznać. Mój szwagier, baron Wallmuth — pan Thornton z St. Louis..

Na te słowa, amerykanin wstał się cokolwiek grzeczniejszym dla barona.

— Ten pan nie jest mi obcym, nazwisko to nawet bardzo dobrze znane.

— Nazwisko moje jest powszechnie dobrze znane, jako liczące się pomiędzy najznamienitszemi, zawołał barona z przechwałką.

Amerykanin uśmiechnął się z lekceważeniem. Umiał on i rozumiał po niemiecku, ale nie wiedział, że słowa barona były cytatem z komedji, wcale dobrze zastosowanym.

— Szkoda że się go słyszy tak rzadko, rzekł z przekąsem. Drugi właściciel tego wielkiego nazwiska zapewne nie znalazł się dotąd?

Były dyrektor teatru utracił nieco ze swojéj bezwstydnéj pewności.

— Nie, rzekł skrobiąc się w głowę. Przypominam sobie teraz, że miałem zaszczyt poznać pana w Heidelbergu. Szukałeś wówczas barona Wallmuth. Człowiek ten nie należał do naszéj rodziny, jak to panu zaraz wówczas powiedziałem.

— Wielka szkoda, odpowiedział amerykanin obojętnie, że człowiek tak nikczemny, nosił jedno z najpiękniejszych nazwisk niemieckich, jak niemniéj

i to, że pan jesteś ostatnim reprezentantem tego nazwiska.

— Ostatnim? kto wie, odezwał się baron z dwuznacznym uśmiechem. Dawne nazwisko wkłada na nas obowiązki,—nie wiem czy mam prawo zostać ostatnim w moim rodzie.

Feliks nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Jeżeli uznajesz te obowiązki, mój stryju, rzekł szydersko, te przekaż je Pawłowi lub mnie. A zwracając się do pana Thornton, dodał: I my także nosimy nazwisko Wallmuth i jesteśmy z tego dumni.

— Panowie także nosicie to nazwisko? zawołał amerykanin zdziwiony. Ale mój Boże! dla czegóż ten pan, gdym przywożąc moje córki przed trzema laty do Niemiec, znalazł go po długiem szukaniu w Heidelbergu, upewniał mię, że jest jedynym potomkiem swego rodu, i że nie zna nikogo w Niemczech, coby oprócz niego mógł mieć prawo do tego nazwiska.

— Mój stryj miał słuszność, podchwycił prędko Paweł, ponieważ my nosimy to nazwisko tylko ubocznie, i.......

— Tak, ale dopiero od niedawna, poprawił go Feliks. Ojciec mój urodził się jeszcze jako baron Wallmuth, a tytuł hrabiego Amstetten nosił dopiero w ostatnich latach swego życia. Dla tego też, rzekł prowadząc Thorntona przez otwarte drzwi do przyległéj sali, na jego portrecie jest wyraźny napis: Robert, baron Wallmuth, hrabia Amstetten.

Głucha cisza nastała w całem kółku. Paweł chwycił silnie matkę za rękę: Zmarły hrabia w naturalnéj wielkości, z przenikliwemi oczyma i wyrazem bezwstydu około ust, którym odznaczał się także dyrektor teatru, poglądał wyzywająco, ze złotych ram, na patrzących.

— Robert, baron Wallmuth, hrabia Amstetten, przeczytał Amerykanin półgłosem i w zamyśleniu;—bardzo podobny!

— Czy go pan znałeś? zapytał drżący, bezdźwięczny głos, tuż za nim.

Odwrócił się, —była to hrabina. Wspierała się na ręku starszego syna, cała jéj postać drżała jak w trwodze śmiertelnéj, a oblicze powlekło się bladością.

Pan Thornton wahał się co odpowiedzieć, patrząc to na matkę, to na syna, który wzniósłszy głowę patrzył mu w oczy smutno, ale odważnie.

— Nie, odpowiedział stanowczo, nigdy go nie widziałem,—chciałem tylko powiedzieć, że podobny do syna.

Hrabina westchnęła lekko.

— Znajdujesz pan podobieństwo? zapytała, aby tylko cokolwiek powiedzieć.

— Rysy twarzy są bardzo podobne, odrzekł uspokajająco, przeciwnie zaś wyraz jéj odziedziczony po pani. Zmarły mąż był zapewne bratem pana barona — czy dobrze zrozumiałem?

— Tak jest! zawołał dyrektor teatru, a ponieważ wtedy gdyśmy się spotkali, brat mój już nie żył, a ja nie lubię zasmucać się przykremi wspomnieniami, powiedziałem panu bez wyjawiania bliższych szczegółów, że nie mam brata.

Pan Thornton, zamiast odpowiedzieć, spojrzał jeszcze raz na portret. Przerwano na chwilę rozmowę, która na wszystkich sprawiła przykre wrażenie, a gdy ją rozpoczęto na nowo, treść jéj stanowiły ogólne, obojętne przedmioty.

Pod pozorem, że przed odjazdem do Bonrathu chce zobaczyć się z córką i poczekać na jéj przebudzenie, pan Thornton oddalił się na godzinkę. Podobnież wyszedł z pokoju Feliks, który ile możności unikał zawsze stryja. W sali jadalnéj pozostała tylko hrabina ze starszym synem i dyrektorem teatru.

— Cóż za licho sprowadziło tu tego hultaja? zawołał baron, ujrzawszy się sam na sam z matką i synem. Sprawa staje się coraz trudniejsza, bo jeżeli jeszcze tym razem moja présence d'esprit was uratowała, nie można być zawsze pewnym siebie i swego losu. Przeczuwam grożące nam niebezpieczeństwo.

Hrabina pobladła.

— Czegóż się pan możesz obawiać? zapytała łagodnie.

— O, wiele, moja łaskawczyni; nazwisko Wallmuth wkłada na mnie obowiązki, niemniéj też i nazwisko Amstetten!

— Zdaje mi się, że ten kapitał jest dobrze administrowany i przynosi dość znaczny procent, zauważył hrabia z goryczą. Chciéj stryj obowiązki mnie pozostawić.

— Nie łudź się nadzieją, Pawle, że kramarz jest w wątpliwości co do portretu, milczał tylko dla tego, ponieważ się mnie boi. Ale ja nie jestem tu zawsze, aby was bronić.

— Nie troszcz się stryju o to, odpowiedział hrabia, zresztą w kontrakcie naszym niema o tem mowy. Używaj życia, a troski zostaw mnie. Do życia dostarczam ci środków, jak pan dostarczasz mi obficie przedmiotu do zmartwień.

— Prawda, prawda, mój kochany. Ale to niesłuszne; używać, jest wyłącznie prawem młodości. W ostatnim czasie kilkokrotnie z żalem o tem rozmyślałem, i zdaje mi się rzeczą konieczną, abyśmy role zmienili.

— Abyśmy role zmienili? zawołała z trwogą hrabina,—o, mój Boże! przecież nie zamyślasz pan przywieść mnie i moich synów do nędzy?

— Uspokój się, uspokój się matko! napomniał syn, wstrzymując ją, ponieważ chciała zbliżyć się do dyrektora teatru. Jest to sprawa załatwiona pomiędzy ludźmi honoru, potwierdzona słowem z obu stron, jeden nie może jéj cofnąć dobrowolnie. Stryj mówi tak wiele o obowiązkach rodowych, a pierwszym z nich jest dotrzymać słowa.

— Pierwszym jest odwaga, zawołał baron; przedewszystkiem należy wybić ci z głowy błędne mniemanie, że się boję ciebie....

— Złamaniem słowa, okażesz stryj co najwięcéj, że nie boisz się hańby. Od téj chwili, gdy zapomnisz o swojem słowie honoru, w istocie nie będziesz potrzebował obawiać się mnie, zawołał z pogardą Paweł. Gdyśmy przed rokiem mieli uporządkować tę sprawę, sam stryj postawiłeś warunki, a ja dopełniłem ich ściśle,—przeto skwitowaliśmy się zupełnie.

— Tak się zdawało, ale śmierć zrywa wszystkie węzły, rozwiązuje wszystkie kontrakty, mój najdroższy. Gdyby żyła moja Ingeborga, gdybym miał to uspokojenie, że przynajmniéj moi potomkowie, moja krew, posiadają dziedzictwo moich przodków, miłość ojcowska przywiodłaby może sumienie moje do milczenia. Ale dziś byłoby to grzechem.

— A złamanie słowa byłoby hańbą. Utraciłbyś stryj swoje stanowisko, jeszcze nimbyś je zająć zdołał, przestrzegał Paweł.

— Czy masz świadków? zapytał baron bezwstydnie.

Paweł cofnął się w tył, tak go dotknęła ta podłość stryja, i po raz pierwszy, od początku rozmowy, żywa niespokojność odbiła się na jego twarzy.

— Matka moja, rzekł, była świadkiem naszéj umowy.

— Twoja matka jest interesowaną, odpowiedział baron niedbale,—zresztą świadectwo kobiety, chociażby najgodniejszéj kochania, nie ma wartości.

— Nie zwlekaj pan dłużéj, i spuść cios którym nam zagrażasz, rzekła hrabina, tonem prośby,—taka ciągła niepewność jest tak zabijającą. Chcesz pan naszéj nędzy?

— Boże uchowaj, moja najdroższa szwagrowo! cóżby mi z tego przyszło? pragnę tylko majestatu. Proszę was, na Boga, nie opierajcie się tak rozpaczliwie na pojęcie „honoru" Pojęcie to czysto indywidualne,—nieraz się o tem przekonałem w mojem ruchliwem życiu. Będę miał wzgląd na to, że Paweł i Feliks są potomkami czystéj krwi szlacheckiéj, i że pani sama miałaś stanowisko w społeczeństwie;—z głodu nie pomrzecie. Jeżelim pierwéj nie obstawał przy moich prawach, to tylko ze względu na Ingeborgę i na jéj wyraźne życzenie. O, była to kobieta z głową! Wiedziała dobrze, że los żony właściciela majoratu, jest o wiele świetniejszy i pewniejszy niż córki bez osobnego posagu. Teraz jednak odpadają wszystkie to pobudki,—dość już ofiar poniosłem.

— A ja? zapytał Paweł szorstko.

— Ty nie masz szczęścia, przyjacielu, prawdziwie nie masz szczęścia. Ale tego zmienić nie można.

— Zamyślasz więc stryju, wystąpić z twemi pretensjami? zapytał Paweł, ukrywając gniew z trudnością.

— Tak jest, mój kochany, myślę o tem; ów pan Thornton będzie mi może pomocnym.

— Litości! jękła hrabina i podniosła ręce błagalnie. Dziecko twoje śpi spokojnie, życzenia jéj spełniły się, błąd przebaczony, zasłania go nazwisko Pawła. Okaż się wspaniałomyślnym, nie odpłacaj taką nikczemnością

— Matko! zawołał gwałtownie Paweł, co czynisz? Czyż niczem nie zdołam cię wstrzymać od tego? Wszystko co było możebne, zrobiłem; — szkoda, że wówczas nie miałaś dość siły, miejże ją przynajmniéj teraz. Dosyć tych wszystkich ofiar i próśb. To... upokorzenie, którego znieść nie mogę, pomimo uszanowania i miłości dla ciebie. Czyń pan co ci się podoba, i co uznajesz za potrzebne dla utrzymania honoru naszego nazwiska. Oczekujemy więc bez obawy pierwszego wystąpienia.

— Nie tak prędko, nie tak prędko, rzekł baron zmięszany trochę silną determinacją synowca. Że takie myśli przychodzą mi do głowy, jest to całkiem naturalne, bo wszystkie moje życzenia i potrzeby, nie mogą być urzeczywistnione skutkiem niepewności mego stanowiska. Młodszy jestem, mój przyjacielu, niż ci się zdawało, i nie jestem wcale starcem zużytym, na którym światu nic nie zależy. Bieda jednak z kobietami! Cóż na to powiesz, że nie mogę dostać dziewczyny, któraby mię pielęgnowała i chciała być moją gospodynią? Boją się mnie, ponieważ jestem wdowcem. Oto naprzykład, ta Gertruda u pani Steinlach, — święta jak madonna, a przecie lubiąca życie, któréj tu nikt ocenić nie umie, i na któréj ja pierwszy się poznałem. Ofiarowałem jéj miejsce gospodyni w mojem przyszłym domu,—ale świętoszka, robi trudności myśli zapewne, że mogłaby spieniężyć drożéj swoje wdzięki. Chcąc ją zaangażować do pierwszych ról," powinienem oczywiście zapłacić drożéj, —to całkiem naturalne: Pierwsze amantki płaci się drogo, póki są młode. Sądzą jednak, iż tytuł i stanowisko hrabiny Amstetten, powinny być dla niéj dostateczną zapłatą. Doprawdy Pawle,- to z miłości? dla téj dziewczyny! Miłość, ach miłość tak daleko mię posuwa.

— Pobudki pańskie wcale mię nie obchodzą, a z ich skutkami dam sobie radę, odpowiedział młody człowiek, przezwyciężając się z trudnością. Ale co się tyczy panny Gertrudy, proszę wyrażać się z większym szacunkiem; oprócz mojéj matki, nie znam kobiety którąbym stawiał tak wysoko jak ją.

— To mnie cieszy, to mnie bardzo cieszy, zawołał baron, zacierając ręce. Masz dobry gust Pawle, jestem szczęśliwy, że tak szanujesz mój wybór.

Hrabia popatrzył na niego z pogardliwem politowaniem, i rzekł po chwili:

— Nie szanuję nic, co się ciebie tyczy, mój stryju, ani nawet twego wieku, którego nie umiesz być godnym. Ale radbym oszczędzić Gertrudzie wszelkich bliższych styczności z tobą, zwłaszcza iż znam czystość jéj serca, i wiem że wolałaby służyć, niż być panią w twoim domu. Była ona moją narzeczoną, nim was tutaj nieszczęście przyniosło; poświęciłem ją, a ona przebaczyła złe, które jéj tak niezasłużenie sprawić musiałem. Ufała mi i kocha mię dziś jeszcze, ja zaś zrobiłem swoje i jestem wolny. I cóż stryju? Czy jeszcze myślisz starać się o rękę Gertrudy!

— Dla czegóż nie? zapytał baron; dla tego że była twoją, pogardzić nią nie myślę. Poczytam sobie nawet za powinność spełnić jéj marzenia zostania hrabiną Amstetten. Wiesz, że tylko ja jeden mogę to uczynić — ty zaś powinieneś być mi za to wdzięcznym, że płacę twoje długi, chèr ami. Gdybym ci z miłością Gertrudy zostawił i majorat, podpisałbym wyrok przeciwko sobie, a co większa popełniłbym względem téj lubéj istoty oczywiste oszustwo, co sprzeciwia się mojéj uczciwości.

— Pawle, zawołała hrabina z godnością, dosyć tego, aż nadto dosyć! Tak, miałeś słuszność, w pierwszéj chwili brakło mi siły, a teraz muszę ją mieć, aby znieść dziesięć razy więcéj. Daruj mi, mój synu, już nie jestem tak słabą; odtąd życie nasze niech będzie jasném, cień cudzéj winy nie powinien go zasępiać.

Syn z radością przycisnął do ust rękę matki.

— Nakoniec! zawołał... ale jeszcze nie jest zapóźno. Wystąp mój stryju ze swojemi skargami i pretensjami, czekamy abyś to uczynił; pomówię tylko z Gertrudą, aby wiedziała ile i jak mało obadwaj jéj konkurenci mogą jéj ofiarować.

To powiedziawszy, podał rękę matce, i wyszli oboje z pokoju, powoli ale pewnym krokiem.

— Jakby się urodziła do grywania matek i osób szlachetnych, bąknął były dyrektor teatru; prawdziwie, trudno znaleść kobietę równie uzdolnioną do tego fachu.

Zadzwonił potem, i kazawszy sobie podać jeszcze jednę butelkę madery, zabrał się do wyśmienitego pasztetu, nie myśląc ani o procesie, ani o możliwości utracenia Gertrudy.

Dopiero w godzinę później, turkot pojazdu oderwał go od tego przyjemnego zatrudnienia, a chociaż w oczach ćmić mu się już zaczynało, poznał przecież wsiadających do bryczki; Pawła i Amerykanina.

X.

Już było koło południa, gdy Ryszard wracał do domu, spełniwszy polecenie Sybilli. Nim ją zawiadomił o rezultacie, naturalny pociąg serca sprowadził go z drogi, dla oznajmienia rodzinie Steinlachów, kto nabył dawną ich posiadłość. Słowa jego nie wzbudzały w ubogiéj izdebce, ani zazdrosci, ani skargi, chociaż gorycz zasępiła twarz właściciela fabryki, i z óczu pani Georginii obficiéj łzy popłynęły. Milczeli oboje w poczuciu swojéj winy. Ojciec miał już nazajutrz odjechać do Hamburga dla objęcia swojéj posady, a matka z Malwiną za dni kilka, skoro wynajdzie mieszkanie i jako tako je urządzi. Ryszard i w tym względzie musiał być pomocnym, bo Steinlachom prawie nic nie zostało. Należał on do wierzycieli pana Steinlacha, ponieważ przez wiele lat nie pobierał pensyi, lecz ją zostawiał w kassie, i dopiero teraz, acz ze znaczną stratą odebrał z massy. Pan Steinlach przyjął od niego te pieniądze, jako pożyczkę na nowe urządzenie gospodarstwa. Ryszard nalegał, aby właściciel fabryki pożegnał się z Sybillą; prośba jego nie była bezskuteczną, a nawet Malwina i jéj matka, chociaż nie bez wstrętu postanowiły towarzyszeć mu w téj smutnéj wizycie.

Ryszard nadaremnie szukał sposobności, aby sam na sam pomówić z Malwiną: i teraz, gdy wszyscy czworo szli do pomieszkania Sybilli, matka trzymała ją ciągle przy sobie, co niepozwalało mu wybadać serce Malwiny jak sobie życzył. Nareszcie nie mogł dłużéj wytrzymać, i usiłując nadać swemu głosowi jak największą swobodę, zapytał:

— Pani Steinlach, hrabia Feliks był już u was dziś zrana?

Zamiast odpowiedzi, łzy popłynęły obficiéj z oczu Georginii, i zdawało się mu że Malwina pobladła.

— Już więcéj nie przyjdzie, rzekła po chwili Georginia, wkrótce będziemy całkiem bez przyjaciół.

— Pani Steinlach! zawołał Ryszard z wyrzutem—jakże pani możesz mówić coś podobnego? Czyż ja niczem jestem dla was?

Malwina dotknęła go miękką swą ręką i rzekła z dziecięcą ufnością:

— Ja też tego nie powiedziałabym nigdy, Ryszardzie, bo wiem, że zostaniesz zawsze naszym najlepszym przyjacielem.

— Rozłączenie jest wielkim ciosem, zwłaszcza dla młodego serca, rzekł Ryszard z trudnością zbierając siły—dla serca, które nie chce ugiąć się przed burzą, i mniema że musi pęknąć. Ale nie rozpaczaj Malwino, zachowaj Feliksa w twojem sercu, jako prawdziwego przyjaciela, a kiedyś zobaczycie się znowu.

— O! ja go cenię, jak sama o tem do dziś nie wiedziałam, odpowiedziała spokojnie, i nie zapomnę go nigdy, choćbyśmy się już nigdy nie mieli zobaczyć.

Wyrzekła te słowa tak otwarcie, że Ryszardowi stretwiało serce, chociaż potwierdzały tylko to, o czem już dawno wiedział i czego tak gorąco pragnął.

— Cierpliwości, odpowiedział, cierpliwości, Malwino,— myślę o tem równie jak ty.

Nie zrozumiała, co przez to chciał powiedzieć, ale serce jéj było tak przepełnione smutkiem, tak wiele miała do myślenia, że nie starczyło jéj czasu aby się zastanowić.

— Sybilla stała na zwykłém swojem miejscu przy oknie i patrzyła na drogę, gdy Ryszard z jéj krewnemi wszedł na opustoszały dziedziniec fabryki. Widziała ich wchodzących, ale gdy stanęli na progu, zaledwie się odwróciła, i dopiero gdy usłyszała pozdrowienie Ryszarda, który wszedł ostatni, zawołała nie troszcząc się o tamtych.

— Z czem przychodzisz, Ryszardzie?

— Przynoszę kontrakt kupna odpowiedział, wyciągając papier z bocznéj kieszeni surduta i kładąc go na stole przed Sybillą: Oto odpis protokułu.

Stara odetchnąwszy głęboko, położyła rękę na tym papierze, a potem z dumą i tryumfem spojrzała na małe koło obecnych. Oczy jéj spotykały wszędzie smutne wejrzenia i oniemiałe usta. Ryszard tylko patrzył na nią poważnie, jakby z cichym wyrzutem. Lecz nie czuło tego twarde jéj serce!

— Moje znowu, nareszcie, zawołała przechodząc się po pokoju, silnie wzburzona. Choćby cena miała być najwyższa, kupno jest zawsze dobre.

— Pod każdym względem, odpowiedział Ryzard. Masz pani zapłacić za grunt i resztę budynków 32,000 talarów; na odbudowanie i urządzenie fabryki zostaje więc pani prawie sto tysięcy.

Dawny właściciel fabryki spojrzał na Sybillę zdumiony, bo nie sądził, że pani Sybilla ma tak wielki majątek.

— Fabryka mogła być odbudowaną, zawołała z wymówką, setki robotników mogły odzyskać chleb, a nazwisko Steinlach, które i ty nosisz moja ciotko, nie potrzebowało utracić czci i poszanowania. Nigdy tego, moja ciotko, nie usprawiedliwisz.

— To do mnie należy, odpowiedziała posępnie, nikt nie może mi tego zaprzeczać. Błogosławieństwo nie jest z wami.

Jasny promień słoneczny musnął w téj chwili głowę Malwiny i oblał złotem światłem miluchną jéj twarzyczkę. Zdawało się Ryszardowi, że to palec Boży, wyciskający pieczęć na jéj czystem czole dziewiczem, jako godło łaski i pokoju. Kładąc w żywém poruszeniu rękę na jéj głowie, zapytał prawie szorstko:

— A gdzież jest błogosławieństwo, którego pani szukasz?

— Z tobą Ryszardzie, tylko z tobą, zawołała stara stłumionym głosem; bierz je. Oddajcie Bogu, co jest boskiego, mówi Pan, a tych którzy go nie słuchają, zmusza potężną ręką. Śmiano się gdym występowała z pretensjami do tego kawałka ziemi, usiłując posiąść go dla ciebie—ty sam odrzuciłeś moje życzenie prawie z pogardą. Ale Bóg chciał tak jak ja—wszystko to jest znowu mojem, zdobytem pracą i zaparciem się, przy pomocy boskiéj. Bóg mówił do ciebie w ogniu, który pożarł nieprawe mienie; mówi do ciebie przez moje usta, które do dziś nie umiały prosić: „Bądź panem tego wszystkiego!" Zważ mój wiek—dni moje są policzone, nie mam więc czasu czekać, aż prośby i łzy wzruszą twoje dumne nieubłagane serce. Wiem, bo wszyscie moje nie zwodzi mię, że nie chcesz nic przyjąć z mojéj ręki. Nie wypieraj się tego,— nie ma człowieka na ziemi, którego uczucie, słowa i czyny zbadałabym dokładniéj i lepiéj niż twoje. Szukałam też innéj, młodéj, łagodnéj, godnéj kochania istoty, od któréj mógłbyś przyjąć dar ten bez uprzedzenia. Ale Bóg zniweczył moje zymysły. Tysiące innych radowałoby się, gdyby je do tego wybrano, lecz serce Gertrudy przylgnęło do kogo innego—twoje, nigdy jéj nie pragnęło.

Nareszcie, po tylu latach bezskutecznéj walki, zrozumiałam czego potrzeba, aby się najgorętsze życzenie moje spełniło, abym mogła umrzeć w pokoju. Patrz, oto proszę cię dzisiaj, poraz pierwszy od dawnego czasu, od mego dzieciństwa. Ryszardzie! proszę cię, bądź panem tego wszystkiego—ofiaruję ci to drżącem sercem—odepchnij mię jeżeli możesz.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY PO WŁOSZECH
PRZEZ
Aleksandra Dumasa (ojca)

(Dalszy ciąg.)

Ćwiczenia gimnastyczne bardzo są w modzie; wszyscy młodzi jeżdżą doskonale konno i biegle robią szpadą i pistoletem. Sława ich pod tym względem jest ustalona: są to niebezpieczni pojedynkarze!

Neapolitańczykowie, w obecnem ich położeniu, nie są ani wojskowym ani wojowniczym narodem, i tylko są narodem namiętnym. Neapolitańczyk obrażony bije się odważnie. Pojedynek w Neapolu jest bardzo pospolity; różni się tylko w przygotowaniach, ale w skutkach jest taki sam jak wszędzie.

Przytoczymy kilka faktów.

Hrabia Rocca-Romana pokłócił się z jakimś pułkownikiem. Bronią ich miała być szabla— miejscem bójki Castelmare. Pułkownik francuzki przyjechał na plac konno, Rocca-Romana fiakrem. Pułkownik przypomniał hrabiemu, że mieli się bić konno.

— A prawda! rzekł Rocca, ale to nic nie szkodzi, łatwo temu zaradzić.

Wyprzągł jednego konia; wsiadł na niego i zabił przeciwnika.

W r. 1815 król Ferdynand chciał przywrócić gwardję przyboczną. W tym celu zaciągnął do niéj młodzież najpierwszych rodzin w królestwie Obojga Sycylii. Wiadomo, że Neapolitańczykowie i Sycylianie nie bardzo się lubią. Zaledwie zetknęli się z sobą, natychmiast wybuchły między nimi zawzięte kłótnie. Pojedynków było co nie miara. Zgodziły się wreszcie obie strony na to, żeby wybrać jednego z każdéj strony, a dwaj ci zapaśnicy, roztrzygną na zawsze spory śmiertelnym pojedynkiem. Wybór padł na margrabiego Crescimani, sycylijczyka, i na księcia Mirelli, neapolitańczyka. Ułożono, że się bić będą na pistolety o dwadzieścia kroków.

Parę słów o księciu Mirelli.

Był to młody człowiek od 24-26 lat, książe Teora, margrabia Mirelli, hrabia Conza, pochodzący w prostéj linii, od głośnego condottiere Conza, o którym wspomina Tass. Bogaty, przystojny, poeta,— miał z natury wszystko co człowieka może uszczęśliwić na ziemi. Ale smutny wypadek zatruł mu zaraz pierwszy dzień przybycia na ten świat. Urodził się we wsi Sant-Antimo. Zaledwie dowiedziano się że hrabina syna powiła, posłano natychmiast do klasztoru, żeby w dzwony uderzono na tak wielką radość.

Zakrystjan był nieobecny; jakiś mnich podjął się być dzwonnikiem, ale niedoświadczony w téj sztuce, dał się unieść linie, a straciwszy przytomność, wypuścił ją z rąk z dosyć znacznéj wysokości i złamał sobie obie nogi. Mimo największe starania umarł nazajutrz.

Wypadek ten, opowiadany nieraz w rodzinie, zrobił głębokie wrażenie na umyśle księcia Mirelli, chociaż rzadko o nim mówił.

W naznaczonym dniu i miejscu, przeciwnicy stawili się. Nie mieli do siebie żadnéj osobistéj urazy, a nawet żyli z sobą dosyć blisko. Stanąwszy na placu, uśmiechnęli się do siebie, podali sobie ręce i zaczęli rozmawiać o obojętnych rzeczach. Tymsem sekundanci układali warunki pojedynku. Na dany znak rozłączyli się, stanęli naprzeciwko siebie o dwadzieścia kroków i wystrzelili razem. Nie trafili się wcale.

Kiedy nabijano pistolety, Mirelli i Crescimani żartowali z siebie że tacy niezgrabni. Podano im znowu broń. Strzelili — znowu bez najmniejszéj obrazy. Za trzecim wystrzałem, Mirelli upadł. Kula przeszyła go na wylot,— rana była straszna, ale go nie zabiła na miejscu. Kiedy go chciano zanieść do powozu, przez nadludzkie wysilenie wstał i sam zaszedł do powozu. Ale zemdlał zaraz. Przed swoim domem chciał znowu sam wysiąść, ale nie dopuszczono tego. Przyjaciele zanieśli go do łóżka.

Posłano po najlepszego chirurga w Neapolu, pana Penza — człowieka europejskiéj sławy. Doktór wysondował ranę i oświadczył, że za nic nie odpowiada, a przynajmniéj leczenie będzie bardzo długie i strasznie bolesne.

— Rób pan co się panu podoba, doktorze! — odezwał się Mirelli. Mariusz ani pisnął kiedy mu rozcinano nogę, —będę milczał jak Mariusz.

— Prawda, odparł doktór. Ale kiedy chirurg skończył robotę z prawą nogą, Mariusz nie chciał dać lewéj. Wolę nie zaczynać operacji, niż ją przerywać w samym środku.

— Bądź pan spokojny! dojdziesz aż do końca — odpowiedział Mirelli — ciało moje należy do pana, możesz je krajać ile ci się podoba.

Mając taką pewność, doktór zaczął. Mirelli dotrzymał słowa, ale nad wieczorem dostał mocnéj gorączki. Matka i dwaj przyjaciele pilnowali go; około jedenastéj w nocy usnął, ale punkt o północy obudził się. Jakby nikogo przy sobie nie widział, oparł się na ręce i słuchał. Był blady jak śmierć, a oczy iskrzyły mu się z gorączki. Pomału wlepił wzrok we drzwi prowadzące do salonu. Matka podniosła się i zapytała go, czego chce?

— Nic — odpowiedział — to on idzie.

— Kto on?

— Czy matka nie słyszy jak się wlecze jego habit? Oto idzie... zbliża się... drzwi się otwierają... Oto jest, oto jest!.. Wchodzi — wlecze się na połamanych nogach... idzie prosto do mojego łóżka. Podnieś kaptur, mnichu, żebym mógł widzieć twarz twoją!... Czego chcesz?... mów!... czyś przyszedł po mnie?... zkąd przychodzisz?... Z ziemi!.. Oto podnosi obie ręce... uderza jedną o drugą... Słucham cię, mów!...

I zamiast wstętu i bojaźni, posunął się na krawędź łóżka żeby lepiéj słyszeć. Po kilku sekundach, podczas których miał minę człowieka który z zajęciem słucha, westchnął głęboko, upadł na poduszki wyszeptawszy te tylko wyrazy:

— Mnich z Sant-Antimo.

— Przypomniano sobie wtedy owe zdarzenie w dniu jego urodzin, to jest dwadzieścia pięć lat temu, które w gorączce stanęło przed nim jakby rzeczywistość obecna. Nazajutrz, czy nie chciał o tem mówić, odpowiadał pytającym się go, że nic a nic nie rozumie czego chcą od niego. Przez trzy miesiące, piekielne to widmo co dzień mu się pokazywało, psując ciągle każde polepszenie zdrowia księciu; Mirelli sam już wyglądał jak widmo. Pewnego dnia domagał się tak natarczywie, żeby go w nocy zostawiono samego, że matka i przyjaciele przystali na jego żądania. O godzinie dziewiątéj wszyscy wyszli z jego pokoju: On wydobył pałasz z pod poduszki i czekał. Jeden z jego przyjaciół ukrył się w przyległym pokoju, żeby w razie potrzeby, przybiedz mu na ratunek. O godzinie dziewiątéj usnął, jak zwykle; punkt o północy obudził się,— wtedy podniósł się na łóżku i wlepił oczy we drzwi do salonu. Spojrzenie jego było wyzywające,—pot kroplami spadał mu z czoła, włosy najeżyły mu się na głowie, a jednak usta uśmiechały się.

Nagle wydobył z pochwy pałasz, skoczył z łóżka, uderzył dwa razy jakby chciał zabić kogoś, i wydawszy straszny krzyk upadł zemdlony na ziemię.

Przyjaciel w szatach przybiegł i zaniósł go na łóżko. Ściskał tak mocno pałasz, że nie można było wyrwać mu go z ręki.

Nazajutrz zaprosił do siebie przeora klasztoru z Sant-Animo, i oświadczył mu, że gdyby umarł z odebranéj rany, to życzy sobie być pochowanym w grobach klasztornych, a gdyby wyzdrowiał to i wtedy pragnie tam być pochowanym, gdziekolwiekby potem umarł. Opowiadał potem matce i przyjaciołom, że chcąc uwolnić się od tego widma, bił się z nim, ale będąc zwyciężonym, musiał mu przyrzec, że się każe pochować w klasztorze obok niego. Od tego czasu widmo zniknęło, a w dziewięć miesięcy potem Mirelli zupełnie wyzdrowiał.

Opowiedzieliśmy tę anegdotę, naprzód dla tego, że podobne legendy, w teraźniejszych czasach, są niezmiernie rzadkie, szczególniéj we Włoszech, a potem dla tego, żeśmy widzieli zebrane w jednym człowieku, trzy rodzaje odwagi bardzo od siebie różne: odwagę patriotyczną, odwagę fizyczną, która ze zdumiewającym stoicyzmem znosi najstraszniejszą boleść, — i odwagę moralną, która nie waha się walczyć z nadprzyrodzonemi potęgami.

III.

Toledo.

Toledo jest ulicą wszystkich. Jest to ulica restauratorów, kawiarni i sklepów. Jest to arterja, przechodząca przez wszystkie części miasta. Arystokracja przejeżdża się tędy w powozach, mieszczaństwo handluje, a lud odpoczywa. Dla panów to przechadzka, dla kupca to bazar, dla lazzarona to mieszkanie.

Toledo jest pierwszym krokiem Neapolu, na drodze ku nowożytnemu postępowi, ku nowożytnéj cywilizacji,—jest to punkt z którego najlepiéj widać ostatki starożytnego świata, usuwającego się, i zabory nowego świata, przybywającego, Bóg wie zkąd. Obok klassycznéj *osteria* (austerja) ze staremi firankami, popstrzonemi przez muchy elegancki,—francuzki pasztetnik pokazuje swoje briosze, bety i swoją żonę. Obok szanownego fabrykanta starożytności, na użytek dla panów Anglików, rozpiera się kupiec chemicznych zapałek. Po nad biórem loterji jaśnieje pyszny salon perukarza, a najwybitniejszym rysem tego zlania się jest to, że Toledo wybrukowane jest lawą jak Herkulanum i Pompea, a oświetlone gazem jak Londyn i Paryż.

Można widzieć różne rzeczy na ulicy Toledo, ale ponieważ opisać wszystkiego niepodobna, ograniczę się na trzech pałacach, jako najciekawszych. Na jednym rogu pałac królewski, na drugim ratusz, a we środku pałac Barbaja.

O pałacu królewskim powiemy przy innéj sposobności. Ratusz składa się 1° z wielkiéj karety na dwanaście osób, pomalowanéj i wyzłoconéj, w najpiękniejszym hiszpańskim stylu z XVII wieku; 2° z dwunastu urzędników, w połowie wybranych ze szlachty, w połowie z mieszczan, którzy noszą kapę, szpadę, ale trzewiki ze srebrnemi klamrami, i ogromne peruki à la Ludwik XIV, 3° z sześciu koni w paradnéj uprzęży.—Obowiązki każdego z tych trzech od-

działów ratusza, są następujące: Kareta obowiązaną jest, dwa razy na rok, wytoczyć się z wozowni, dwunastu urzędników obowiązani są usiąść w karecie, a konie obowiązane są zaciągnąć to wszystko z jednego końca Toledo na drugi, a to jak najwolniéj.—Wszyscy jak najlepiej wypełniają te obowiązki.

Pozostaje mi do wytłomaczenia szanownym czytelnikom, co to jest, a raczéj co to był pałac Barbaja... bo niestety, kiedy piszę te wspomnienia wielki ten człowiek już się wyniósł z tego świata na inny.

Dominik Barbaja był prawdziwym typem włoskiego impressario. Dotąd znaliśmy prezesa, dyrektora reżysera teatru, ale nie wiemy co to jest impressario. Impressario jest potrochu tem wszystkiem, ale jest jeszcze czemś więcéj. Wszystkie teatra w Europie, rządzą się mniéj więcéj konstytucyjnie: dyrekcje rządzą ale nie panują, mówiąc językiem parlamentarnym. Włoski impressario jest despotą gorszym od Sułtana.

Dla artystów jest wyzyskiwaczem i pobłażliwym ojcem, absolutnym panem i wiernym przyjacielem, przewodnikiem oświeconym i sędzią nieprzedajnym. Jest to człowiek, który handluje białymi na swój rachunek, rozporządza nimi jak chce, nie pozwoli nikomu zajrzeć wewnątrz swojego interesu, broni go z nieustraszoną odwagą Amerykanów.

Bo też włoski impressario, ma za sobą nie tylko prawo ale i siłę. Ma pod swojemi rozkazami oddział kawalerji i piechoty, kommissarza policji i oficera od żandarmów. Jeżeliby artyście przyszła chętka do kaprysów, a publiczności chętka do niegrzecznego gwizdania, to owa zbrojna siła zamyka przestępców w więzieniu, dopóki się nie poprawią.

Owóż Dominik Barbaja rządził tym sposobem w Neapolu przez czterdzieści lat. Wzrostu był średniego, ale zbudowany jak Herkules, pierś wypukła, barki szerokie, ręka żelazna. Rysy nie bardzo piękne, ale oczy błyszczały dowcipem, pojętnością i złośliwością.

Goldoni (¹) przewidział go, pisząc swojego: *Mruk dobroczynny*. Złote serce, ale obejście się szorstkie, a charakter niesłychanie gwałtowny. Nikt nie byłby w stanie przetłomaczyć na żaden europejski język, dykcjonarza jego łajań i złorzeczeń artystów swojego teatru. Mimo to, ani jeden z nich nie chował za to do niego urazy, bo był pewny: że przy każdem powodzeniu, on pierwszy go uściska,—przy każdym zawodzie, on pierwszy go pocieszy,—przy każdéj słabości, on pierwszy czuwać nad nim będzie jak rodzona matka.

Będąc za młodu chłopcem w kawiarni, doszedł z czasem do tego, że rządził trzema znakomitemi teatrami: św. Karola, Scala i w Wiedniu, że rządził bez kontroli publicznością włoską i niemiecką z których pierwsza jest najkapryśniejsza w świecie a druga niezmiernie wymagająca. Składając grosz do grosza, zebrał kolosalną fortunę, którą wydawał z królewską hojnością na różne dobroczynne cele. Miał pałac, w którym mieszkali jego artyści, pyszną willę gdzie przyjmował swoich przyjaciół. Geniusz prawdziwie niezwyczajny i instynktowy! Nie umiejąc pisać, nie znając ani jednéj nuty, poddawał najlepsze libretta do oper dla poetów, a dla kompozytorów najbardziéj zajmującą treść: mając głos krzykliwy i niemiły, wykształcił najpierwszych śpiewaków we Włoszech, mówiąc tylko prostem medyolanskiem narzeczem, porozumiewał się z monarchami, z którymi traktował jak monarcha.

Układał się ze wszystkiemi, we wszystkiem, na słowo, nie przyjął nigdy od nikogo żadnych warunków. Trzeba było polegać na nim zupełnie. Umiał też wynagradzać i karać surowo. Jeżeli jakie miasto zgadzało się chętnie na jego warunki, jeżeli publiczność była pobłażającą dla debiutanta, co potrzeba odwagę i zasoby artysty, to jéj posełał Rubiniego, Pastę, Lablasza, same znakomitości pierwszorzędne. Ale jeżeli jakie miasto było za nadto wymagające, jeżeli publiczność za bardzo nadużywała swojego prawa gwizdania, to jéj posełał same plewy, swoje psy, jakich nazywał energicznym językiem i kazał im męczyć uszy słuchaczów przez cały sezon. Skargi i gwizdania znosił z tak zimną krwią, jak lud rzymski walką gladiatorów, lub walkę chrześcian z dzikiemi zwierzętami.

Trzeba było widzieć tego szlachetnego impressario, kiedy w czasie pierwszego przedstawienia siedział w swojéj loży obok sceny, naprzeciw loży królewskiéj, - poważny, bestronny, zwracając się kiedy niekiedy to do sceny, to na króla, to na publiczność. Jeżeli artysta potknął się, to Barbaja, jakby drugi Brutus pierwszy go potępił zwykłym wykrzyknikiem: *Can di Dio*! który się rozlegał po całéj sali. Jeżeli zaś publiczność nie miała słuszności, to Barbaja wstawał w loży jak żmija i rzucał jéj na głos grubiańskie słowa: *Fioli d'una vacca*! Jeżeli król czasami nie klaskał w porę, to ruszał ramionami i wychodził z loży mrucząc.

Nigdy nikomu nie zaufał w zebraniu sobie trupy. Miał tę zasadę, że jak najmniéj przyjmował sławnych artystów, bo podług niego, artysta na szczycie chwały zaczyna upadać, i wiele zwykle z nimi kłopotu a zysku mało. Wolał sam tworzyć artystów, robić doświadczenia *in anima vili* (na zaczynających).

Oto, jak sobie poczynał.

Kazał swojemu stangretowi w maju lub we wrześniu, wieźć się w okolice Neapolu. Przybywszy na wieś, wysiadł z powozu, odprawiał służbę i puszczał się sam na poszukiwanie *ut* piersiowego. Jeżeli spotkał jakiego przystojnego wieśniaka, przybliżał się do niego po przyjacielsku, kładł mu rękę na ramieniu, i zaczynał z nim rozmowę, prawie w tych słowach.

— No, mój przyjacielu, widać że praca przykrzy się wam troszkę. Nie prawda? nie mamy dosyć siły do dźwigania rydla?

— Odpoczywałem, jaśnie panie.

— Znana rzecz! — wieśniak neapolitański odpoczywa zawsze.

— Bo też straszny upał, a ziemia taka twarda.

— Założę się że masz ładny głos; muzyka najwięcéj dodaje sił i ochoty do pracy. Zaśpiewaj mi jaką piosnkę.

— Ja, jaśnie panie? Nigdy w życiu nie śpiewałem,

— Tem lepiéj! będziesz miał głos świeży.

— Jaśnie pan żartuje.

— Chcę cię słyszeć.

— A co zarobię na tem, jeżeli się dam słyszeć.

— Jeżeli mi się twój głos spodoba, to może cię wezmę z sobą.

— Za służącego?

— Trochę więcéj.

— Za kucharza?

— Trochę więcéj.

— A za co takiego?

— Na co ci to wiedzieć! Zaśpiewaj tylko.

— Mocno?

— Z całych sił, a nadewszystko otwórz dobrze usta.

Jeżeli ten nieszczęśliwy miał tylko baryton, lub bas, impressario wykręcał się zgrabnie na pięcie i opuszczał biedaka, dodawszy mu kilka morałów o zamiłowaniu pracy i szczęściu wiejskiem. Ale jeżeli trafił na tenora, to go zabierał z sobą, ale na koźle, bo nie lubił psuć artystów pieszczotami.

Jeżeli chodziło o przyjęcie mężczyzny, to odzywał się do niego swoim mrukliwym tonem:

— Czegóż ci trzeba, mój chłopcze? Będziesz miał dosyć 50 franków na miesiąc, na początek — trzewiki, suknie, makaroni i. t. d. Bądź wielkim artystą, to możesz wtedy dyktować mi prawa jak ja ci teraz dyktuję. Czas ten prędko przyjdzie, bo masz piękny głos, dowód żem cię przyjął,—masz rozum, dowód żeś mię chciał okraść. Poczekaj troszkę, mój drogi, a szczęście przyjdzie ci, śpiewając. Gdybym ci dał od razu wiele pieniędzy, tobyś się stroił, umizgał, upijał co dzień, i za trzy miesiące straciłbyś głos zupełnie.

Z artystkami rozumowanie było daleko prostsze i krótkie.

— Kochane moje dziecię, nie dam ci ani grosza, przeciwnie tyś mi powinna zapłacić. Podaję ci sposobność do pokazania publiczności wszystkich twoich wdzięków, Jesteś piękna. Jeżeli masz talent, prędko zbierzesz pieniądze i sławę, a jeżeli nie masz, to jeszcze prędzéj zrobisz karjerę na scenie. Wierz mi, kiedy nabędziesz więcéj doświadczenia, podziękujesz mi za to. Gdybyś była bogatą zaczynając twoje debiuty, tobyś zaślubiła jakiego chórzystę któryby cię bił, albo jakiego księcia któryby cię zrujnował.

Przekonani takiem logicznem rozumowaniem, artyści angażowali się na 50 fr. miesięcznie. Trafiało się nieraz, że po pierwszem półroczu, artysta zadłużył się jakie dwa albo trzy tysiące. Wtedy Barbaja, nie chcąc dopuścić żeby jego elewa wsadzono do kozy, zapłacił za niego dług, i żyli sobie daléj w jak najlepszéj przyjaźni.

Podczas mojego pobytu w Neapolu, opowiadano mi różne anegdoty o tym znakomitym impressario, malujące wybornie człowieka i jego wiadomości muzyczne.

Nie wiem, jaki tam margrabia, mający wielki wpływ u dworu, polecił mu jakąś pannę, mającą wielkie powołanie do teatru, i wielką przyszłość przed sobą. Barbaja skrzywił się znacząco, zanurzył obie ręce w kieszeniach nankinowych spodni, co zwykle robił kiedy musiał dusić gniew w sobie.

— Zobaczysz, mój drogi, mówił margrabia takim tonem, że się aż żółć gotowała w strasznym impressario, że to cudowne zjawisko!

— Dobrze, dobrze! niech przyjdzie do mnie jutro rano.

(d. c. n.)

---

¹) Najlepszy włoski pisarz komedji w ostatnich czasach.

Dalszy ciąg opisu N. 37.

N. 29. Podaje kaftanik muślinowy, z przodu kokardami ze wstążki kolorowéj przybrany i takimże paskiem przepasany. Garnirunek stanowi 6 c. szer. plisowana koronka, z nagłówkiem z wązkiéj haftowanéj aplikacji. Rozety z cienkiéj bawełny, zastępują zbyt żmudny haft atłaskowy. Kaftanik pod N. 30 podany, jest z tiulu czarnego koronkowego; czarna gipiurowa koronka i ruloniki z czarnego atłasu, stanowią garnirunek, który zastąpiony być może czarną irlandzką koronką, albo haftowaną krepą. Pas i kokardy mogą być z czarnego aksamitu, atłasu lub wstążki, albo w kolorze odpowiednim sukni.

N. 31—33. Sukienka dla panienki od 5—7 lat.
Krój N. VIII Fig. 18—20.

N. 34. Pasek dla niemowlęcia.
Krój w dodatku Fig. 34.

N. 35 i 17. Suknia z pasowanego perkalu, ze stanikiem pod szyję i kołnierzem muślinowym.
Krój tiuniki jak do ryciny 36 i 37 w Tyg. Mód N. 31.

Model sukni podanéj pod N. 17 z tyłu a pod N. 35 z przodu, odrobiony jest z perkalu w paski zielone i białe. Niższa z dwóch falban ma 20 c. szer. a wyższa 16 c. zakończone zaś są przystębnowanym szlakiem 6 i 3 c. szerokim. Takiż sam garnirunek, tylko stosownie zwężony, powtarza się przy tiunice, szarfach i rękawach, które przy ręce mają 85 c. szer. a poniżéj łokcia, są do 30 cent. przemarszczone, paskiem przestębnowane i kokardą zakończone. Gładki na guziczki pod szyję zapięty stanik, przystrojony jest kołnierzem muślinowym, do którego należą odpowiednie zarękawki.

N. 36. Suknia z perkalu w paski ze stanikiem z karoczkiem.

Z perkalu w wązkie paski, bardzo dobrze wydaje się garnirunek, z falbanek skośnych na dwie strony odwróconych, a środkiem stębnowaną pliską 1 i pół c. szer. przedzielonych. Wązka w pliskę zastębnowana falbanka stanowi stojący kołnierzyk. Do pasa przyszyty karoczek z tyłu, przystrojony jest szarfą.

OPIS DESENI
do haftu w dodatku przy
N. 36 i 37 Tygodnika Mód.

N. 1. Szlak do rolety.

Pojedyncze części deseniu przykrawają się z materjału fabrycznie w zakładki i kratki odrobionego. Następnie łączą ze sobą, za pomocą wstawek z kratek i koronkowych, wązkie pliski stębnowane przykrywają szwy. W środku daje się medaljon haftowany, a brzegi deseniu zdobi wązki dziergany szlaczek.

N. 2. Szlak do rolety.

Deseń ten można odrobić łańcuszkiem, albo ściegiem stębnowanym na tle pojedynczym, albo z dodaniem podłożenia dubeltowego.

N. 3. Szlak do sukien, spódnic, kap na łóżka, albo także na rolety, do wyszycia sutaszem, łańcuszkiem, lub stębnówką. Liście mogą być podkładane od spodu lub z wierzchu; w takim razie trzeba brzegi starannie zamocować i wyciąć.

N. 4 i 5. Dwa szlaki do haftu na tiulu atłaskiem i koronkową tasiemeczką.

Szlaki te użyte być mogą do firanek do toalety lub łóżeczka dziecinnego; jak rycina 18 w N. 36 Tygodnika Mód wskazuje lub do przykrycia dla dziecka, jak rycina 5 w Tygodniku N. 37 albo do garnirunku sukni czy też bielizny.

N. 6 i 7. Dwa kwadraty z koronki irlandzkiéj do krawatek,
rękawków, kołnierzyków lub tp.

Kwadraty te, wprawione w muślin w taki sposób, iżby tworzyły kratę, naprzemian muślinową i koronkową, stanowić będą bardzo piękne tło firanek do okna, toalety, kolebki lub łóżka, używając na szlak N. 5.

N. 8 i 9. Dwa końce do krawatek.

Koronka irlandzka i haft atłaskowy na batyście lub muślinie.

N. 10 i 11. Dwa duże medaljony. Haft atłaskowy i kratki z podłożeniem tiulu; medaljony te zarówno użyte być mogą na końce do krawatek jak i do przyozdobieniu cienkiéj bielizny.

N. 12 i 13. Dwa małe medaljony. Listki i kwiatki haftuje się atłaskiem, gałązki zaś ściegiem cierniowym i długim.

N. 14. Kwadrat z deseniem na haft atłaskowy. Wykonany na cienkiem płótnie webowym, w połączeniu z kwadratami siatkowemi, składać może piękną serwetę.

N. 15 i 16. Dwa kwadraty do wyszycia łatwym ściegiem. Z numeru 16 ułożyć można szlak do rozmaitego użytku.

N. 17. Koniec do krawatki haftowany atłaskiem z kratkami (à jour). Piękność haftu wiele się podwyższy, jeżeli pod szlaczek brzeżny poddamy lekko nadmarszczoną koronkę.

N. 18. Róg do chusteczki do nosa. Przezroczyste tiulowe wstawki, mogą być w miejsce haftu wywodzone, albo cienkiemi frywolitkami zastąpione. Pod haft można dać muślin lub batyst podwójnie, dla większéj wybitności, i obciąć starannie przy ząbkach dzierganych.

N. 19—20. Narożniki do chusteczek. Haft atłaskowy.

N. 21. Szlaczek haftem atłaskowym i gipiurowym.

N. 22. Szlaczek atłaskowy.

N. 23. Wstawka haftowana, z kratkami w środku w kształcie medaljonów.

N. 24. Cyfra pasem otoczona w kształcie klamry. Haft atłaskowy.

N. 25. Litery do znaczenia poszewek.

N. 26 i 27. Szlaczki odrobione ściegiem łańcuszkowym i cierniowym.

N. 28 do 35. Ośm szlaków do wyszycia sutaszem albo odrobienia łańcuszkiem, stębnówką, lub ściegiem sznureczkowym. Do przyozdobienia serwet, firanek do drzwi i okien, lub niektórych przedmiotów ubrania np. do talmy, spódniczek a nawet kostiumów.

Opis N. 38.

N. 1. Kostium pikowy. Pierwsza spódniczka zakończona jest bardzo szerokim nadmarszczonym wolantem, naszytym u dołu dwiema plisami. Tiunika równa okrągła, niepodpinana, oprócz plis pikowych ogarnirowana jest pół batystowem plisowaniem. Wszystkie plisy są w górze naszyte rodzajem torsady szydełkowéj w kolorze écru, na którą wzory podane są w N. 39 Tyg. Mód. Na gładkim staniku pod szyję z rękawami obcisłemi, kaftaniczek luźny z rękawami szeroko puszczonemi, od strony łokcia w okrągły ząb ściętemi. Krawacik z koronki lub frywolitek, z końcami podwleczonemi wstążką. Kapelusz marynarski z białéj słomy, opasany i ubrany szarfą z pięknéj i ciężkiéj czarnéj materji. Parasolik z gałką z kości słoniowéj.

N. 2. Ubranie spacerowe z okryciem z flanelki. Ten rodzaj okrycia, jeżeli nie z flanelki, to koniecznie być musi z jakiego miękkiego wełnianego wyrobu, w kolorze białym, niebieskim, fijołkowym, czarnym, popielatym lub brązowym. Przyozdobienie stanowi szeroki szlak, wyszyty sutaszem, lub odrobiony ściegiem łańcuszkowym albo sznureczkowym, i kokardy aksamitne z końcami, wiązaną frendzlą oszytemi. Okrycie to przykrawa się podług formy talmy szerokiéj i długiéj. Formę kapturka podamy w jednym z następujących numerów

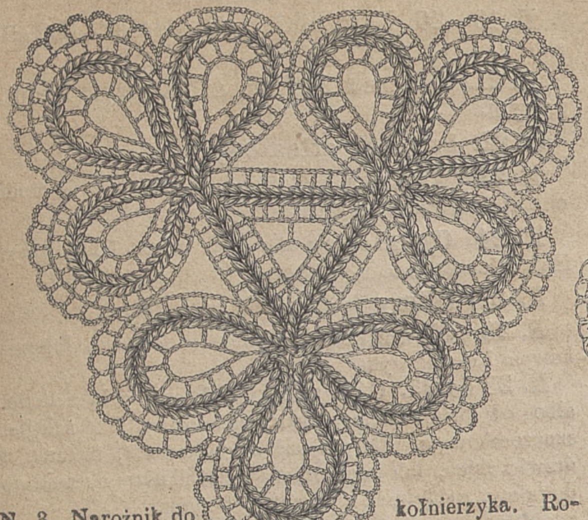
N. 3 — 5. Kołnierzyk z wywijanemi rogami i mankiet odpowiedni. Sutasz pleciony i robota szydełkowa. N. 3. podaje w naturalnéj wielkości róg do kołnierzyka, którego część tylną stanowi stojący prosty pasek z weby lub batystu, w środku 2 c. szer. a ku przodowi do 1 i pół cent. zwężony. Sutasz może być kupny, albo własnoręcznie z cieniutkiego sznureczka, oczami łańcuszkowemi odrobiony; następnie naszywa go się na deseniu, albo też układa podług wzoru, i obrabia zwykłemi słupkami szydełkowemi, bardzo cienką bawełną. Wnętrze liści zapełnia kratka z takichże słupków, przedzielanych i dopełnianych oczami łańcuszka. Odpowiednią ilość o. i sł. najdokładniéj wskazuje rysunek. Stojący kołnierzyk przyrabia się z tyłu w górze sutaszem i słup: podług wzoru podanego pod N. 4, z przodu przyczepia się narożnik. Deseń do zupełnie prostych mankietków, bardzo łatwo w sposób na N. 5 wskazany, podług wzoru N. 3 złożyć. Pasek płócienny przyozdobić można otoczeniem i kokardą z kolorowéj wstążki.

N. 6—8. Narożnik do kołnierzyka i mankiet, z ząbków z plecionki i kratki szydełkowéj.

N. 6. Przedstawia dolną część długiego rogu do kołnierzyka, który w całości liczyć powinien dziewięć gwiazdek. Każda gwiazdka układa się osobno z ząbków z ta-



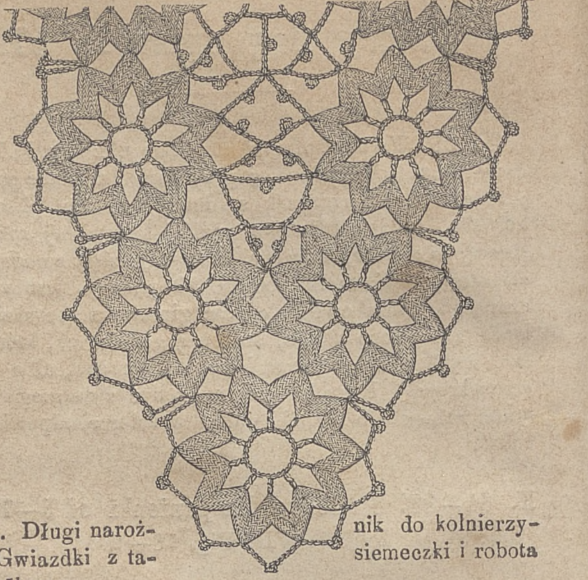
N. 1—2. Ubrania spacerowe.
N. 1. Kostium pikowy. N. 2. Ubranie spacerowe z okryciem z flanelki.



N. 3. Narożnik do kołnierzyka. Robota szydełkowa i sutasz pleciony. Zobacz pasek koło szyi N. 4 i mankiet N. 5.

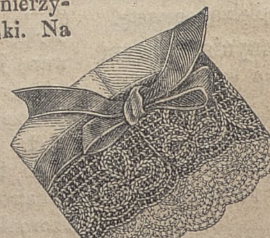


N. 9. Koniec do krawatki. Ręczna imitacja koronki irlandzkiéj.



N. 6. Długi narożnik do kołnierzyka. Gwiazdki z tasiemeczki i robota szydełkowa.

siemeczki, i zapełnia we środku kratką ze słupków szydełkowych, następnie gwiazdki spajają się ze sobą, obrabiają i zapełniają robotą szydełkową, z łańcuszka i pikotów złożoną. N. 7 podaje prosty pasek do kołnierzyka, zakończony ząbkami szydełkowemi i z tasiemki. Na prosty pod N. 8 podany mankiet potrzeba jednego rzędu gwiazd, zakończonych obrobieniem szydełkowem. Wszelkie tego rodzaju kołnierzyki, bardzo wiele zyskują, gdy są podłożone kolorową wstążką.

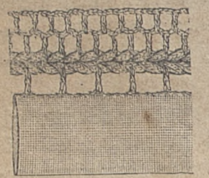


N. 5. Mankiet do kołnierzyka N. 3 i 4. Robota szydełkowa i sutasz pleciony.



N. 8. Mankiet do kołnierzyka N. 6.

N. 9. Koniec do krawatki. Robota koronkowa. W koronce irlandzkiéj, cała piękność zależy od doboru i umiejętnego wykonania kratek; sposób ich robienia opisywaliśmy już wielokrotnie zresztą rysunki zawsze wyraźnie je przedstawiają. Dziś zwrócimy główną uwagę na piramidalne ozdobienie dwóch końcowych liści, tu rząd każdy robi się w poprzek dwa razy, tam i napowrót, za pierwszą razą daje się podstawę łuków dzierganych i kratek z boku, za drugą, dzierga je się, dodaje boczne okręcenie nitki, i przeprowadza nitkę roboczą około pikotów tasiemeczki.



N. 4. Pasek do kołnierzyka N. 3.

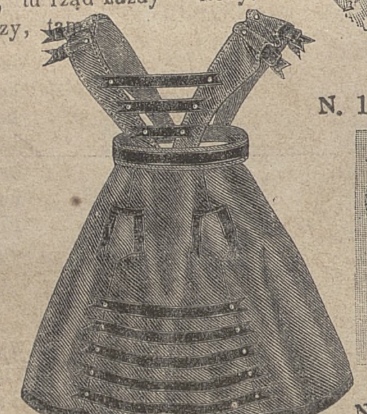
N. 10. Kapelusz ogrodowy wiejski, pleciony ze słomy i pokryty muślinem.

Prosty, ze słomy upleciony, duży okrągły kapelusz, pokrywa się od spodu i z wierzchu lekko przymarszczonym muślinem, przez który pleciona słoma przegląda. Główkę i rondko garniruje się wkoło, riuszą, ułożoną w podwójne fałdy, z muślinu prosto krajanego w ząbkiwyciętego. Riusza około rondka ma 5 cent. szerokości, przedzielona jest wąziutką czarną aksamitką, koło główki jest 8 c. szer. i znacznie szerszą aksamitką przepasana. Z tyłu na główce przypięta kokarda z końcami mająca 10 c. szer., jest wkoło obrębiona i wązką aksamitką oszyta.



N. 10. Kapelusz ogrodowy wiejski pleciony ze słomy i pokryty muślinem.

N. 11. Litery do znaczenia chustek. Ścieg stębnowany i sznureczkowy.



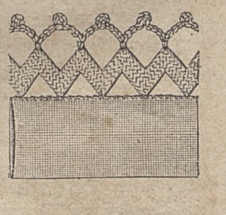
N. 12. Fartuszek dla małych panienek przybrany drabinką z aksamitki.



N. 11. Litery do znaczenia chustek. Ścieg stębnowany i sznureczkowy.

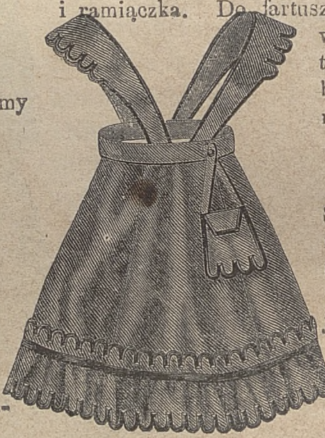
N. 12—13. Fartuszki z ramiączkami, dla małych panienek. Obadwa fartuszki krajane być mogą prosto lub w kliny, z materyi albo alpagi czarnéj, jako też z białego i niewarowego batystu i perkalu. Szerokość ramiączek powiększa się lub zmniejsza, stosownie do długości fartuszka.

N. 12. Fartuszek przybrany drabinką z aksamitki. Czarny jedwabny fartuszek, ma ramiączka w środku w 3 kontrafałdy ułożone, aksamitką i guziczkami przepięte. Tak żeberka aksamitne łączące ramiączka, jak i drabinka ubierająca przód, są w końcach w ząbki wycięte i jedwabnemi guziczkami przymocowane. Kieszonki przyszyte z wierzchu, zdobi takież przepięcie jak przy ramiączkach.



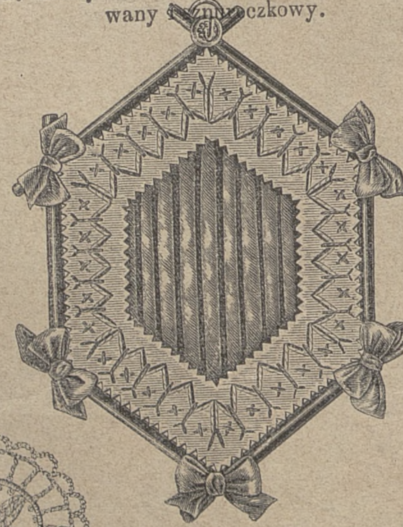
N. 7. Pasek do narożnika N. 6.

N. 13. Fartuszek z falbaną wyciętą w zęby. Lekko przymarszczona i pliską przeszyta falbana, ma nagłówek i brzeg dolny wycięty w okrągłe zęby, pliską objęte, takież samo wycięcie zdobi przypinaną kieszonkę i ramiączka. Do fartuszków jedwabnych, objęcie powinno być z atłasu lub aksamitu, do czarnych wełnianych, białych lub écru, obłożenie być może z tego samego materjału.



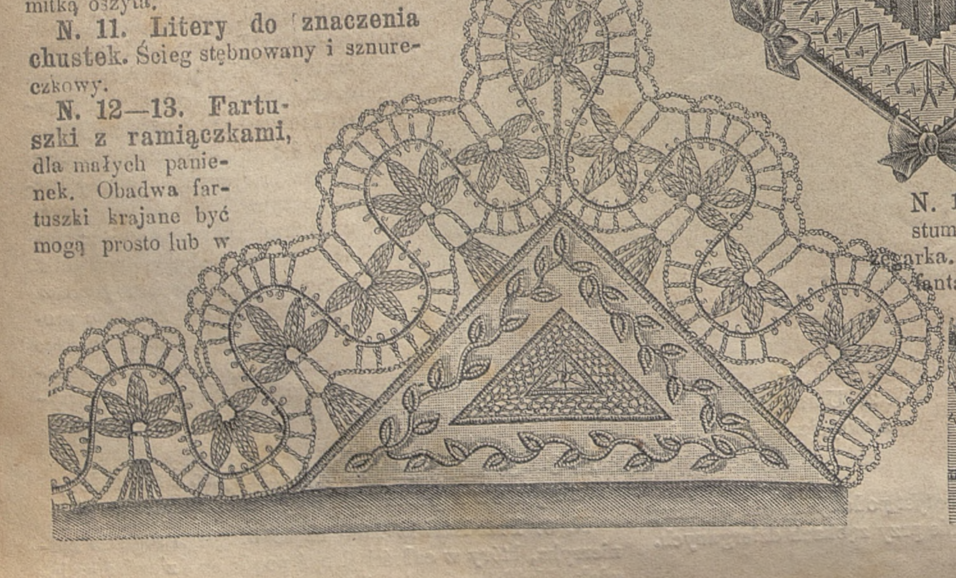
N. 13. Fartuszek z falbanką wyciętą w zęby.

N. 14. Postument do zegarka. Robota fantazyjna. Sposobem na rysunku wskazanym, układa się ramkę z sześciu trzcinek lub pręcików lakierowanych, których końce wykrojone zakładają się jeden na drugi i zamocowywują. Na połączeniach dają się kokardy ze wstążki, a u góry kółko do gwoździa i haczyk do zakładania zegarka. Środek zapełnia sześciokąt z tektury od spodu podszewką podklejony, z wierzchu materją w fałdki ułożoną pokryty. Wkoło na materji, dany szlak z sukna białego w ząbki wycięty, wyszyty kolorowemi jedwabiami, ściegiem długim.



N. 14. Postument do zegarka. Robota fantazyjna.

N. 15. Narożnik do kołnierzyka. Haft na płótnie i koronka szydełkowa. Trójkąt środkowy odzierguje się i zapełnia w środku kratką koronkową à jour; listki otaczającéj go girlandki haftują się ściegiem pocztowym, czyli koło igły nawijanym, gałązki sznureczkiem. Podstawę





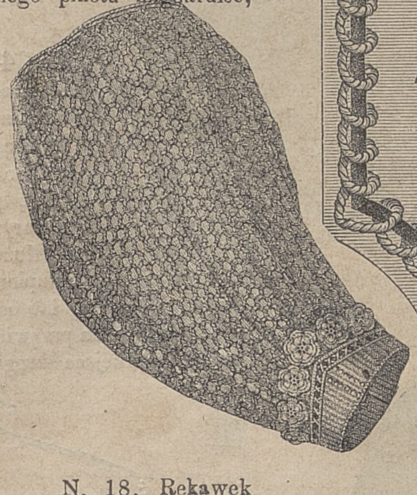
N. 16. Narożnik do kołnierzyka. Haft gipiurowy

koronki, stanowi najcieńsza tasiemeczka „mignardise“. Dobre odrobienie wymaga cienkiéj w najlepszym gatunku bawełny i ręki nader wprawnéj. Dwa rzędy obrobione na dwie strony plecionki mignardise, bardzo mało różnią się między sobą, przy obrobieniu dolnem dodane są tylko pęczki słupków cztery razy nawijanych, dla zapełnienia próżni między wygięciem koronki i haftowanym trójkątem. Zacząwszy od brzeżnego pikotu mignardise, potrzeba odrobić wskazaną na rysunku liczbę zewnętrznych słup: podwój: przedzielanych 3 ocz. łań. poczem następuje odrobienie 5 listków słupkowych, zapełniających wygięcia. Najpierw na długi pojedynczy słupek nawija się nitka 3 razy i zatrzymuje go się na igle, potem na każdy listek odrabia się 3 takież słupki w jedno oczko pikotu i także na igle zatrzymuje, dopiero gdy wszystkie pięć listków są zrobione, przeciąga się przez nie jedna długa pętelka i zrabia razem, poczem dodaje się drugi pojedynczy słupek i zaczyna 3 l. o., słupki podwójne, otaczające brzegi zewnętrzne.

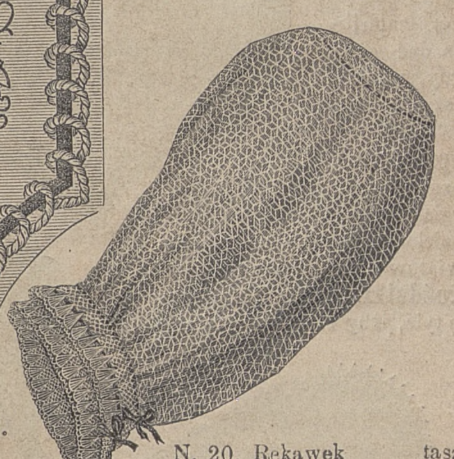
Potrójne słupki dodawane do rzędu dolnego, odrabia się przy połączeniu dwóch słup. nad niemi będących i dopiero przechodzi daléj. Górne ząbki łań. niepotrzebują opisu.



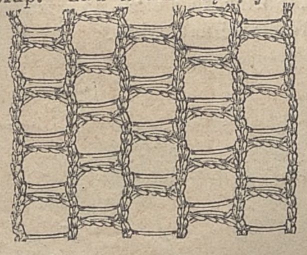
N. 17. Medaljon do krawatki. Robota fantazyjna.



N. 18. Rękawek robiony na drutach z mankietem szydełkowym. Próbka ściegu pod N. 19.



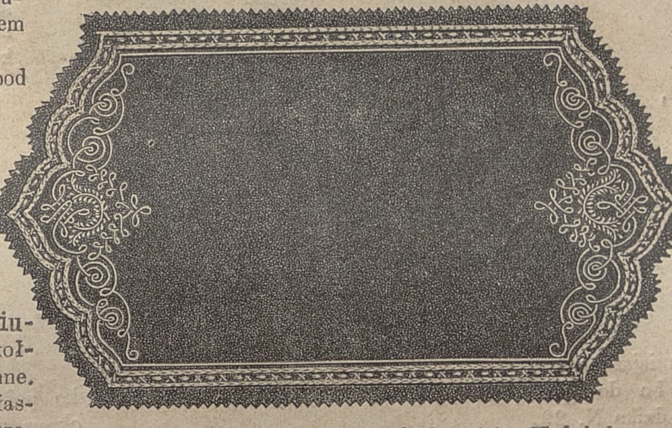
N. 20. Rękawek siatkowy.



N. 19. Próbka roboty na drutach, do rękawka N. 18.

N. 16. Haft gipiurowy i narożnik do kołnierzyka, ząbki płocienne.

Pracowity haft atłaskowy i supełkowy naszego wzoru, dla ułatwienia i pośpiechu, można zastąpić kwiatami i liśćmi z tła gładkiego z odzierganemi brzegami i żyłkami sznureczkowemi. Zamiast zaś pręcików gęsto dzierganych, można robić zwykłe powietrzne z kręconéj bawełny. Płócienne zęby przyszyte na koronce, wycina się równo z osobna, i starannie podszywa z brzegów wąziuchną listeweczką lub tasiemeczką. Obadwa powyższe narożniki można łatwo zastosować do kołnierzyków Watteau lub szmizetkowych, powiększając trójkąt środkowy lub dodając szerszy szlaczek.

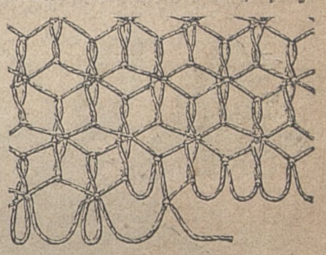


N. 22. Przykrycie na stoliczek do robót. Haft kolorowy. Deseń pod N. 23.

N. 21. Podaje wyraźną próbkę tła siatkowego do rękawka, które robione być powinno na drucie grubym, z nici bardzo cienkich i mieć 42 c. długości, a 64 c. szerokości. Na siatkową koroneczkę stanowiącą garnirunek koło ręki, obrabia się kilka razy siatkę zwyczajną, nie przekręcaną, na drucie stalowym, potem na drucie grubym szlaczek, biorąc w jedno oko 6 razy, a drugie opuszczając. Następnie te oczy długie obrobić 2 razy na drucie cienkim.

N. 22—23. Przykrycie na stoliczek do robót. Haft kolorowy. Rysunek 22 podaje miniaturowe wyobrażenie całego przykrycia, zaś N. 23 znaczniejszą część poprzecznego deseniu w naturalnéj wielkości, który dopełnić bardzo będzie łatwo. Na wzorze, użyte są kolory czerwonawo brązowe do cieniu. Sukno tła stanowi odcień najciemniejszy, pleciony sutasz odcień jaśniejszy, a przekręcane wyszycie najjaśniejszy. Wyszycie z paljowéj wełnianéj tasiemki, przyczepione kordonkiem czarnym, ściegiem krzyżowanym, odbija przytem bardzo dobrze. Kordonki dobrane być powinny także do cieniu.

N. 24 25. Dwie torsady ułożone z sutaszu. Z cienkiego jedwabnego sznureczka lub sutaszu, przy zręczności i wprawie, z łatwością układać można rozmaite wyszycia, naśladujące szmuklerskie torsady, tak dziś powszechnie przy garnirunkach używane.



N. 21. Próbka siatki na rękawek N. 20.

N. 26—27. Etażerka z lambrekiną. Małe przenośne etażerki oparte na lwach, odrobione z ciemnego drzewa, i przystrojone sukienną lambrekiną, stanowią mebelek bardzo praktyczny i w każdym domu pożądany. Sukno użyte na lambrekinę powinno być nieco jaśniejsze od drzewa, objęcie zaś zębów i wyszycie ciemniejsze. Przy wyszyciu arabeskowego deseniu, dopełniać można rozmaite zmiany i dodatki, znacznie piękność roboty podnoszące. Zarówno da się tu użyć sutasz gładki lub okręcany, jak i ścieg łańcuszkowy lub sznureczkowy, z dodaniem jaśniejszego oznaczenia z kordonku lub nitki złotéj.



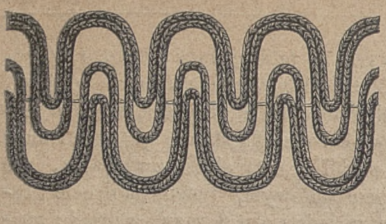
N. 23. Wzór do haftu, na przykrycie stoliczka do robót N. 22.

N. 17. Medaljon do krawatki. Robota fantazyjna. Wieńczyk środkowy wyszywa się jedwabiem cienkim czarnym, ramkę zaś układa z kręconego jedwabnego sznura i wąziutkiéj czarnéj aksamitki.

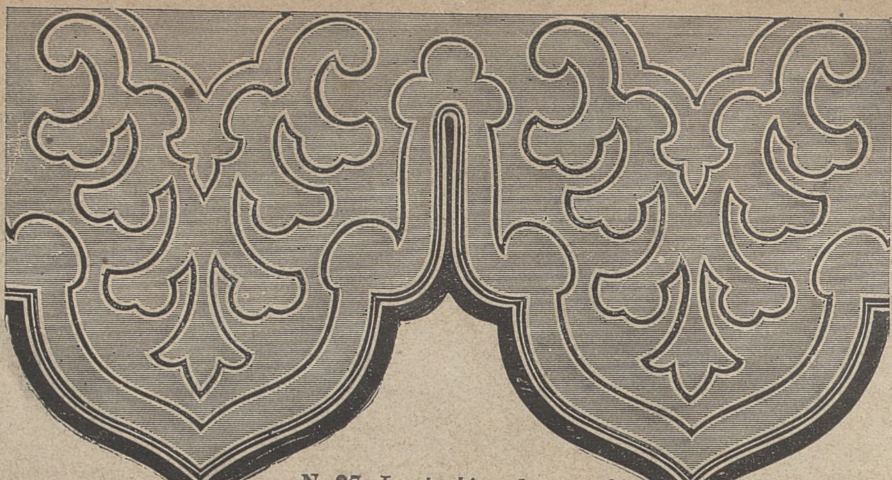
N. 18—19. Rękawek robiony na drutach z mankietem szydełkowym. Do roboty rękawka używa się nici konopnych N. 80 i kręconéj bawełny na kłębeczkach N. 120.

N. 20. Rękawek siatkowy, wstążeczką przewłóczony.

N. 28. Fartuszek z paskiem i kieszonką. Fartuszek bluzkowy, batystowy biały, ma wykrój karczka i falbankę przy rękawach wycięte w płaskie zęby, za któremi ściegiem cierniowym, jedwabiem czarnym, wyszyty szlaczek, zakończa się z obydwóch stron naszyciem białego sutaszu. Takież samo wyszycie daje się wkoło torebki u paska zawieszonéj. Kokardy na ramionach, pa-



N. 24. Torsada z sutaszu.



N. 27. Lambrekina do etażerki.



N. 25. Torsada z sutaszu.

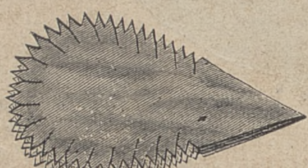
sek i szarfy, są z kolorowéj materji lub wstążki. U dołu można dać szeroki obręb albo szlaczek czarny, w tym rodzaju jak przy wykroju szyi, tylko szerszy.

N. 29—35. Kwiaty papierowe.

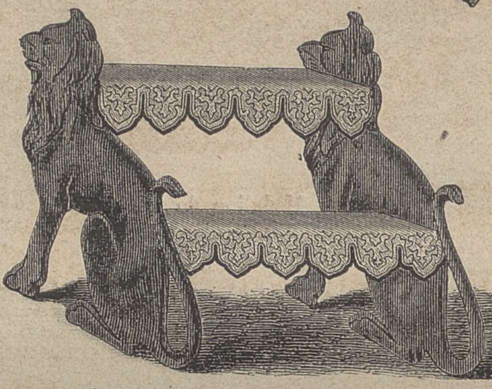
Materjał: Papier karmazynowy i jasno zielony, papier nieglansowany piękny zielony, bibułka zielona, bibułka nakrapiana różowa i żółta, cienki do kwiatów używany drucik.

N. 29. Rozkwitłe goździki. Powiększywszy podaną pod N. 30 foremkę o tyle, iżby złożona w ośmioro, odpowiadała wielkością N. 31 wykrawa się z wybranéj bibułki, na każdy kwiat 4 jednakowéj wielkości okręgi. Z papieru karmazynowego 3 takie okręgi będą dostateczne. Złożywszy każdy z nich w osiem, obcina się brzeg podług wzoru daje ząbki i oznaczone nacięcia, poczem nożyczkami lub drutem średniéj grubości, wyciska się podłużne karbki i poprzeczne zagięcia brzegów. Kawałek białéj bibułki, przecinany jak frendzla, lub kilka szypułek z chorągiewki od pióra, wygięte na drucie i przymocowane do drucika, (jak N. 32 wskazuje) stanowią środek kwiatu, koło którego przywiązują się pojedyncze okręgi liści. Potem dla nadania lepszéj formy, ściska się kwiat cokolwiek w przymkniętéj lewéj ręce. Kielich z blado zielonego papieru, wykroić trzeba podług N. 33, skleić brzegi, nadać formę podłożeniem waty, i nałożyć na łodyżkę z drutu, którą następnie owija się bibułką zieloną.

Długie zielone liście wykrawa się z papieru, załamuje środkiem długości, odwija w górnych końcach na nożyczkach, a w dolnych przykleja do cienkiego drucika, zieloną bibułką okręconego. Pączki w pół rozkwitłe układa się z jednego koła liści; zupełnie zamknięte, kupuje się w fabryce kwiatów, lub odrabia z waty oklejonéj mięszaniną z wosku i gumy, na zielono zafarbowaną.



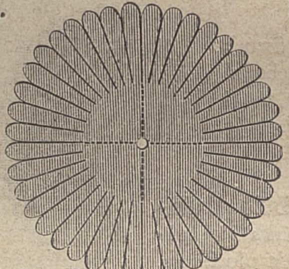
N. 31. Owal złożony 31 w osiem do goździka, do N. 29.



N. 26. Etażerka z lambrekiną.



N. 30. Zmniejszone koło do goździka N. 29.



N. 35. Płasko położony okrąg na liście astrów do N. 34.



N. 29. Rozkwitłe papierowe goździki.



N. 28. Fartuszek z paskiem i wiszącą kieszonką.

N. 34. Rozkwitłe astry. Z bibułki różowéj lub lila nakrapianéj, wykroić dwa okręgi podług wzoru 35, a dwa o pół cent. większe; złożyć każdy we czworo, naciąć i zaokrąglić końce listków, potem rozłożyć gładko na dłoni i narysować środkiem każdego listka, podłużny karbik końcem druta. Środki astrów mogą być kupione wraz z zielonemi liściami w fabryce kwiatów, lub odrobione z żółtéj włóczki, w pęczek do drucika przywiązanej, krótko przyciętéj i rozczesanéj. Mniejsze okręgi liści dają się w środek, większe od brzega. Spodem zakończa się aster okręgiem z zielonéj bibułki, mającym 2 c. średnicy, wyciętym w listki. Pączki układa się z jednego okręgu liści. Druciki owinąć zieloną bibułką.



N. 32. Środkowy pręcik do gozdzika N. 29. Wielkość naturalna.



N. 33. Forma nn kielich do gozdzika. Wielkość naturalna.



N. 34. Rozkwitłe astry papierowe.

N. 36. Poduszka na kanapę. Robota krzyżowa. Poduszka ta w rodzaju zupełnie nowym i oryginalnym, odrabia się na kanwie cienkiéj jedwabnéj. Rój motyli, chrabąszczy i świętojańskich robaczków, zda się być zamknięty, kratą owiniętą liśćmi winnemi. Owady odrobione ściegiem *petite point*, włóczką cienką angielską, naśladują delikatne malowanie; wschodnie bogactwo kolorów, ślicznie odbija na tle zarobionem ściegiem koronkowym jedwabiem cienkim, koloru wodno zielonego. Krata i liście odrobione ściegiem krzyżowym, odznaczają się wypukło. Na kratę użyt- kolory kamienno stalowe, na liście kolor czerwonawoe orzechowy w pięciu, cieniach z których najjaśniejszy stanowi filozela.



N. 36. Deseń na poduszkę do kanapy. Robota krzyżowa.



N. 37. Szydełkowa rozeta z kwastem, która użyta być może pojedynczo lub połączona jako frendzla.



N. 38. Szydełkowa rozeta z kwastem, która użyta być może pojedynczo, lub połączona służy za frendzlę.

N. 37—38. Dwa kwasty szydełkowe. Obadwa wzory odrobione być mogą (stosownie do przeznaczonego celu), z czarnego jedwabiu, lub bawełny białéj czy „écru." Z środka rozety wychodzące kwasty przymocowane są z lewéj strony. Kwastów użyć można do ozdób pojedynczych



Imp. Mertens, Brux.

TYGODNIK MÓD
W WARSZAWIE